



Głos Ludu

Gazeta Polaków w Republice Czeskiej

Pasja zimowego biegania
| s. 3



Wielka historia małej miejscowości
| s. 5



Erasmus – przygoda na całe życie
| s. 6



Miliony z jasnego nieba

WYDARZENIE: W tych dniach szereg gmin, szkół oraz organizacji pozarządowych spotkała miła niespodzianka. Dowiedziały się, że otrzymają dotacje na projekty, które wcześniej zostały odrzucone. Wśród nich znajduje się projekt budowy nowego polskiego przedszkola w Gnojniku.

Zbyt ciasne, nieodpowiadające dzisiejszym wymogom przedszkole to główny problem nękający przez ostatnie lata Polaków z Gnojnika i sąsiednich wiosek. Temat był poruszany na zeszłorocznych sejmikach gminnych poprzedzających Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC oraz na samym Zgromadzeniu. Jesienią przyjechała do Gnojnika Wojewódzka Komisja ds. Mniejszości Narodowych, by na miejscu zapoznać się z sytuacją przedszkola i próbować znaleźć rozwiązanie. Władze gminy deklarywały, że są gotowe budować nowe przedszkole, lecz nie są w stanie sfinansować inwestycji. Tymczasem złożenie wniosku o dotację z Regionalnego Programu Operacyjnego skończyło się niepowodzeniem. Gnojnickie przedszkole uplasowało się „pod kreską”. Nikt nie wierzył, że z tej pozycji można się wspiąć do grona szczęśliwych beneficjentów.

Teraz sytuacja obróciła się o 180 stopni. Rada Regionalna Województwa Morawsko-Śląskiego poinformowała, że będą pieniądze dla Gnojnika. – Dzięki oszczędnościom przy realizacji dużych projektów transportowych zostały fundusze na rezerwowe projekty miast, gmin, szkół i organizacji pozarządowych. Rada Regionalna uchwaliła dziś 27 projektów, na które przeznaczy prawie 290 mln koron – napisał w środę Michał Sobek z wydziału ko-



Dyrektor Tadeusz Grycz trzyma w ręku drugi, nowszy projekt przedszkola.

munikacji społecznej RR. Jednym z projektów jest właśnie „Przybudówka do budynku Szkoły Podstawo-

wej i Przedszkola im. Jana Kubisza w Gnojniku”. Dotacja wynosi 8,2 mln koron (85 proc. przewidzianych kosztów), gmina powinna dołożyć 15 proc., czyli ok. 1,4 mln.

– Powinniśmy sobie poradzić ze znalezieniem tych pieniędzy w budżecie, choć to nie jedyna inwestycja, na którą mamy otrzymać dotację i musimy zapewnić wkład własny. Trzeba tak ustawić plan finansowy, by to się udało – powiedział „Głowski Ludu” wójt Gnojnika, Mirosław

Molin. Gmina ma otrzymać również dotacje na docieplenie i wymianę okien w czeskim przedszkolu oraz w remizie strażackiej, oprócz tego zamierza inwestować w remonty dróg i wodociągu. – Będziemy się chyba musieli zastanowić nad zaciągnięciem kredytu bankowego – dodał Molin. Ale wójt nie będzie w pojedynkę decydował o przyjęciu dotacji, wszystko zależy od decyzji zarządu gminy, który spotka się w najbliższy poniedziałek, oraz rady.

Na zebranie zarządu zaproszony jest również dyrektor Szkoły Podstawowej i Przedszkola im. Jana Kubisza, Tadeusz Grycz. – Cieszę się, że wreszcie mamy coś konkretnego – tak Grycz skomentował przyznanie dotacji z funduszy unijnych. Lecz od razu dodał: – Sprawa się wlokła, decyzja zapadła trochę za późno, w międzyczasie wiele się zmieniło. Jeszcze latem ub. roku Rada Regionalna twierdziła, że nie będzie dla nas pieniędzy. Dlatego opracowaliśmy nowy projekt budowy przedszkola, który miałby zostać sfinansowany ze źródeł w Polsce. Teraz czekamy na decyzję – powiedział wczoraj naszej gazecie. Jeżeli wynik będzie pozytywny, władze gminy i dyrekcja szkoły staną przed wyborem, którą dotację wykorzystać.

Z Regionalnego Programu Operacyjnego przyznano ponadto dodatkowe dotacje na szereg innych projektów w naszym regionie, m.in. na poszerzenie warsztatów chronionych „Ergon” w Trzyńcu (41,5 mln koron), budowę Ośrodka Diakonicznego i Edukacyjnego Diakonii Śląskiej w Czeskim Cieszynie (30,2 mln), na renowację wnętrza kościoła parafialnego pw. Bożego Ciała w Jabłonkowie (8,5 mln) oraz remont dachu kościoła ewangelickiego w Orłowej (3,6 mln). – Miasta i gminy, a tym bardziej organizacje non profit, rzadko rozpoczynają większe inwestycje bez gwarancji, że otrzymają fundusze europejskie. Wierzę, że wiele z nich teraz ucieszy się, choć pieniądze przyznano im dodatkowo, po kilku miesiącach oczekiwania – powiedział dyrektor Kancelarii Rady Regionalnej, David Sventek.

DANUTA CHLUP

POGODA

sobota

niedziela
poniedziałek



dzień: 1 do 5 °C
noc: 2 do 2 °C
wiatr: 3-7 m/s

dzień: -1 do 3 °C
noc: 0 do -4 °C
wiatr: 4-9 m/s

REKLAMA

HYUNDAI | NEW THINKING. NEW POSSIBILITIES.

PROKES | **SERVIS**

Hyundai i20 inclusive start
za cenu 195 000 Kč.

Hyundai i30 kombi
na skladové vozy sleva 40 000 Kč.

Hyundai ix20 1.4i | čerpá dotaci ušetříte 80 000 Kč.
konečná cena: 239 990 Kč možnost LPG za 289 990 Kč.

Hyundai i40 sedan
417 000 Kč vč. metalického laku

+420 737 200 371
+420 720 138 283

5 LET | **ZÁRUKA**

www.prokes.cz
Frýdecká 53, 739 61 Třinec

REKLAMA

www.penzion ovečka.cz

romantický pobyt ve dvoje
od 1 040,- Kč / 1 os.

... wellness prywatny, szampan
urocze stylowe miejsce
romantyczna kolacja przy świecach...
...możliwość wykorzystania BENE-FITów

Nydek | tel.: 558 339 415, 734 753 840

OFERTA WALENTYŃKOWA
70% rabat na
POBYT ROMANTYCZNY
10. 2. - 31. 3.
Ważność kuponu



KRÓTKO

JAK DOBRZE ZDAĆ

CZESKI CIESZYN (sch) – Akademia Handlowa w Czeskim Cieszynie chce pomóc dziewięcioklasistom dobrze przygotować się do egzaminów wstępnych. W tym celu na początku kwietnia zostaną zorganizowane seminaria z matematyki i języka polskiego, na które już teraz mogą się zgłaszać osoby poważnie zainteresowane podjęciem nauki w „handlowce”. Zgłaszać się można do końca lutego, m.in. za pośrednictwem strony internetowej www.obaka-cetin.cz. Seminaria odbędą się we wtorek 2 i 9 kwietnia w godz. 14-16. Uczniowie, którzy jeszcze nie podjęli ostatecznej decyzji co do przyszłej szkoły średniej lub po prostu chcieliby zwiedzić czeskocieszyńską Akademię, mogą skorzystać z ostatniego terminu Dnia Otwartego, który odbędzie się w najbliższy czwartek, w godz. 12-17.

* * *

GRYPA W ATAKU

REGION (sch) – Grypa uderzyła pełną siłą. Według informacji, jakie uzyskaliśmy wczoraj po południu w Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Ostrawie, w tym tygodniu na grypę i choroby grypopodobne zachorowało w naszym regionie o 26 proc. więcej osób niż tydzień temu. W sumie na każde 100 tys. mieszkańców przypadało 1901 chorych. Wzrosła też liczba poważnych przypadków grypy. Kolejne 9 osób trafiło do szpitali, a dwie osoby na A (H1N1) zmarły – 76-letnia kobieta oraz 75-letni mężczyzna. W tej chwili największa zachorowalność na grypę jest w powiatach opawskim, frydecko-misteckim i ostrawskim. Chorują głównie przedszkolaki, ale wzrasta też liczba zachorowań u seniorów.

Po świadectwach długi weekend

W czwartek uczniowie szkół podstawowych i średnich w całej Republice Czeskiej otrzymali świadectwa półroczne, a od wczoraj korzystają z długiego weekendu. Najmocniej przeżywają świadectwa dzieci z pierwszej klasy. W Szkole Podstawowej im. Jana Kubisza w Gnojniku cieszyło się z jedynek dziesięciuro pierwszoklasistów. – Tym razem nie mamy innych ocen, wszyscy otrzymali same jedynki – powiedziała nauczycielka Zdenka Wałach.

Klasa pierwsza, choć nieliczna, uczy się osobno. Gnojniccy pierwszoklasiści nauczyli się w pierwszym półroczu czytać i pisać prawie wszystkie podstawowe litery (brakuje im jeszcze „f” i „h”), a także dodawać i odejmować do ośmiu. – Najbardziej lubię pisać, a najmniej uzupełniać zadania na kartach roboczych do polskiego – powiedział nam Stasio Holesz. Same celujące oceny otrzymał nie



Uczniowie gnojnickiej szkoły świętowali świadectwa na baliku maskowym. Na zdjęciu klasa pierwsza.

tylko on, ale też jego starszy brat – siódmoklasista.

W polskich szkołach w RC zaliczyło swoje pierwsze półrocze

w szkole 237 dzieci, najwięcej od dziesięciu lat. (dc)

Kulinarny sukces

Przedstawiciele województwa morawoskośląskiego gościli w tym tygodniu na 19. Międzynarodowych Targach Ruchu Turystycznego Slovakia-tour w Bratysławie. W stoisku naszego województwa prezentowano sześć regionów turystycznych, w tym także Beskidy. Odwiedzającym polecano różne atrakcje turystyczne, można było także skosztować regionalnych smakołyków, na przykład likier klimkowicki czy kołaczki z jagodami.

Z dużym zainteresowaniem spotkał się projekt „Jak smakuje morawoskośląskie”. Książka kucharska z przepisami na regionalne dania, którą w ramach projektu województwo wydało końcem ubiegłego roku, rozchodziła się jak świeże bułeczki. Książka jest kontynuacją wydanego przed rokiem poradnika z miejscowymi smakołykami. Zawiera 89 przepisów, pochodzących od uczestników konkursu „Jak smakuje morawoskośląskie”. (ep)

Gawlas za legalizacją marihuany

Senat RC uchwalił w tym tygodniu ustawę o legalizacji marihuany w celach leczniczych. Brakuje już tylko podpisu prezydenta, by ustawa weszła w życie. Za jej przyjęciem głosowało 67 z 74 obecnych senatorów. Jednym ze zwolenników legalizacji jest senator Petr Gawlas z Jabłonkwa. W swoim przemówieniu w Izbie Wyższej Parlamentu nazwał ustawę przełomowym dokumentem. – Ludzie, którym konopie pomagają w leczeniu, zdani są obecnie na to, by pokątnie je uprawiać – powiedział w

rozmowie z „Głosem Ludu” Gawlas. Kiedy ustawa wejdzie w życie, konopie będzie w pierwszej fazie sprowadzane z Holandii i Izraela. Później będą powstawały w kraju plantacje kontrolowane przez państwo. Produkcja krajowa ma obniżyć cenę leku. – Dopóki jednak konopie nie będą lekarstwem opłacanym przez ubezpieczalnie zdrowotne, dla wielu chorych nadal będzie niedostępne – uważa Gawlas.

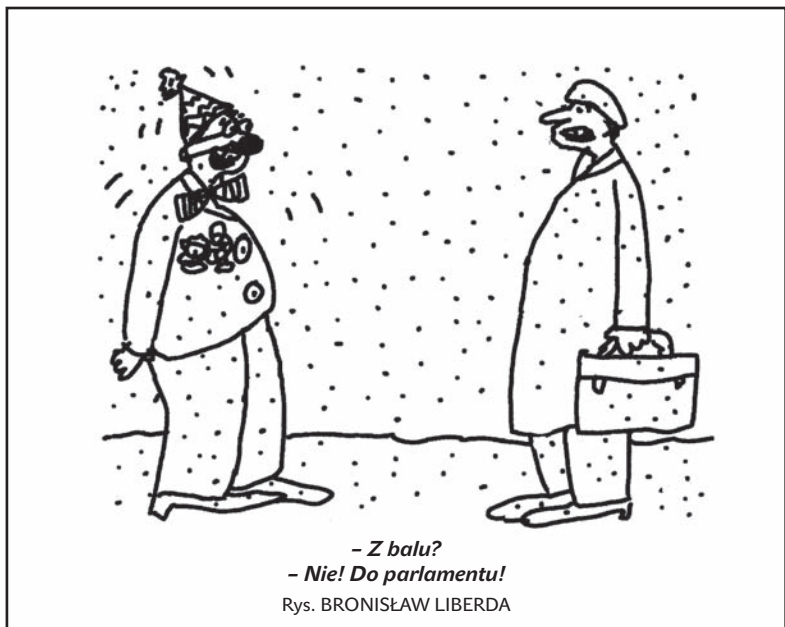
Konopie będzie można dostać wyłącznie na przepis lekarski. (dc)

Wielkie cięcie



Fot. JAN KUBICZEK

Aleja drzew przy ul. Ostrawskiej w Czeskim Cieszynie została mocno przereźdana w ostatnim dniu stycznia. Widok kikutów oraz leżących konarów był trochę przynębiający.



– Z balu?
– Nie! Do parlamentu!
Rys. BRONISŁAW LIBERDA

Matematyka z profesorem

W środę Szkołę Podstawową im. H. Sienkiewicza z Polskim Językiem Nauczania w Jabłonkowie odwiedził prof. Milan Hejny, autor popularnej i sprawdzonej metody nauczania matematyki.

– Każdy nauczyciel ma w swojej klasie uczniów, którzy matematykę lubią, interesują się nią. Lecz są i tacy, którzy jej się boją, jest dla nich przedmiotem niezrozumiałym i trudnym. Ale czym tak naprawdę jest matematyka? Na to pytanie starali się w środę odpowiedzieć uczniowie klasy pierwszej wraz z Barbarą Kotek oraz uczniowie klasy trzeciej z Renatą Kohut – powiedziała dyrektor podstawówki w Jabłonkowie, Urszula Czudek. Od września właśnie w tych klasach jest prowadzona nauka matematyki wg metody prof. Hejnego, polegająca na tym, że uczniowie sami poprzez praktyczne zastoso-

wanie szukają dróg do rozwiązania matematycznych zadań, a nauczyciel będący w roli obserwatora prowadzi ich dyskusję.

Na lekcji pokazowej zorganizowanej przy współpracy z Martą Kmet', dyrektor Centrum Pedagogicznego

dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego w RC nie zabrakło doc. Dariny Jirotkovej, która jest współautorką podręczników do matematyki wg metody profesora Hejnego. W lekcji wzięli udział także przedstawiciele wydawnictwa FRAUS. (maki)



Uczniowie klasy trzeciej wraz z wychowawczynią Renatą Kohut, prof. Milanem Hejnym, doc. Dariną Jirotkovą oraz wnuczką profesora.

Krótsze nazwisko nie dla wszystkich

Zwolennicy obowiązkowego używania końcówki -ová w nazwiskach żeńskich mogą na razie spać spokojnie. W czwartek Senat Republiki Czeskiej odrzucił propozycję nowelizacji ustawy, umożliwiającą obywatelkom Czech używania nazwisk w formie męskiej. W tej chwili takie prawo mają jedynie cudzoziemki, kobiety zamężne z cudzoziemcem oraz te, które zadeklarują inną niż czeska narodowość.

Zmianę tę sytuacji i wolny wybór dla wszystkich Czeszek miała przynieść propozycja senatorów z ODS. Według pomysłodawców kobiety powinny móc same zdecydować, w jakiej formie chcą zapisać nazwisko w dokumentach i w Urzędzie Stanu Cywilnego. Na życzenie rodziców nazwisko w męskiej formie powinno się rów-

nież wpisywać w aktach urodzenia dzieci. Senat odrzucił jednak nowelizację ustawy większością głosów. – To tylko zachcianka kilku kobiet. Ustawodawstwo nie może spieszać naturalnego rozwoju języka czeskiego – argumentowała przewodnicząca senackiej komisji konstytucyjnej, Eliška Wagnerová.

Czesi już od dawna są podzieleni w opiniach na temat zapisu żeńskich nazwisk. W przeprowadzonym przed rokiem sondażu 82 procent badanych stwierdziło, że używanie przez kobiety męskiej formy nazwiska jest nienaturalne, a nawet śmieszne. Tymczasem Instytut Języka Czeskiego zaleca, by kobiety mogły w codziennym życiu posługiwać się męską formą nazwiska, w dokumentach powinny jednak figurować nazwiska z końcówkami -ová lub -á. (ep)

NUŻYŁY ICH DŁUGIE KOLEJKI, WYBRALI WOLNOŚĆ

Pasja zimowego biegania

Są wąskie, długie i lekkie. Z łatwością można je zabrać do jednej ręki. Kiedy wkładasz je na nogi, czujesz się wolny jak ptak. Żeby jednak zakochać się w nich na amen, musisz mieć w sobie coś więcej niż krztę wytrwałości. Nie możesz bać się wysiłku.

Tadeusz Farnik najpierw jeździł na nartach zjazdowych. Kiedy czekał w zdającej się nie mieć końca kolejce do wyciągu narciarskiego, zaczął marzyć o biegówkach. – To była połowa lat 70. ub. wieku. W Beskidach wyciągów było niewiele, a czekanie w kolejce zajmowało czasami nawet pół godziny. Z zazdrością przyglądałem się więc biegaczom, którzy na długich wąskich nartach niezależnie od liczby osób na stoku oraz kaprysów techniki sunęli po śniegu prosto przed siebie – wspomina swoje pierwsze spotkanie z biegówkami, które miało miejsce jeszcze w latach studenckich. Niedługo potem udało mu się zdobyć „sprzęt”. Bo w tych czasach narty, a zwłaszcza biegówki, się nie kupowało, ale rzeczywiście zdobywało. – Zacząłem więc uprawiać obie dyscypliny narciarskie. I tak pozostało do dziś. W ciągu tygodnia po pracy ruszam na stok. Wczorazem nie ma tam długich kolejek. Dwie godziny zjeżdżania i wracam do domu. Natomiast weekendy rezerwuję na bieganie – stwierdza T. Farnik. Towarzyszy mu głównie żona Wanda. To u niej podpatrzył, jak należy biegać.

Danuta Siderek mówi o sobie, że jest „bardzo zapalonym narciarzem zjazdowym”. Co roku funduje sobie tygodniowy wyjazd w Alpy, żeby wyszaleć się na nartach. Biegówki odkryła całkiem niedawno, kilka lat temu. Ją również, podobnie jak pana Tadeusza, nużyło długie czekanie pod stokiem w kolejce na wyciąg. – Miałam jeszcze biegówki z czasów studiów na Akademii Wychowania Fizycznego, choć muszę przyznać, że wtedy niespecjalnie mnie wciągnęły – przyznaje D. Siderek. Ale z wiekiem gusty się zmieniają. Również te sportowe. – Zaczęłam na nowo próbować narciarstwa biegowego. Mąż z racji wykonywanego zawodu zimą rzadko bywa w domu. Zaczęłam więc jeździć na wycieczki z „Beskidem Śląskim” i ze znajomymi. Kiedy nie mam nikogo do towarzystwa, wtedy wybieram się sama z Mostów na Girową. To bardzo uczęszczana trasa, na której nawet w pojedynkę czuję się bezpiecznie – kontynuuje swoją opowieść.

DOBRE PRZETARTY SZLAK

Narciarstwo biegowe to sport, który nie obejmuje się bez naturalnego śniegu. Krótki kawałek można oczywiście sztucznie naśnieżyć, ale nie całego łańcucha gór. W wyższych partiach śnieg trzyma się jednak dłużej niż w dolinach. Biegacze co roku mogą więc liczyć na co najmniej trzy miesiące dobrych warunków śniegowych. – Kiedyś narciarze biegowi sami musieli przecierać szlak. Dziś robi to za nich specjalistyczny sprzęt. Również w Beskidach istnieje kilka dobrze utrzymanych tras biegowych: z Jabłonkowa na Girową i dalej w kierunku na Herczawę, z Jaworowego na Ostry, Hadaszczok lub Kamienny – wymienia T. Farnik. Poleca też trasy w innych regionach Beskidów: od Solania przez Bumbalkę na Białą Krzyż, przy czym wycieczkę można



Z Pustewien prowadzi wiele dobrze utrzymanych tras. Tadeusz Farnik z przodu w przysiadzie.

rozpocząć już wcześniej na Wsackim Cabie we Wsecińskich Wierchach. Dobre warunki dla miłośników biegówek oferuje Pustewny w kierunku na Radhoszcz lub Martiniak, dobrze przygotowane trasy prowadzą także na Łysą Górę, skąd rozciąga się wspaniały widok. Pani Danuta długi wykaz narciarskich propozycji uzupełnia jeszcze o polską Kubalonkę, gdzie zawsze można liczyć na dobrze przygotowane trasy biegowe. – Oczywiście możemy też wybrać inną trasę, nieutrzymywaną, jak ta z Mostów na Skalkę, Mały Połom po Hadaszczok, ale wtedy trzeba liczyć się z tym, że w drodze natkniemy się na powyrwane drzewa, potoki i inne niespodzianki, a samo przecieranie szlaku też wymaga sporego wysiłku oraz kilku osób, które będą zmieniać się na czele – przestrzega pan Tadeusz.

Beskidy to odpowiednie góry do uprawiania narciarstwa biegowego ze względu na ich raczej łagodny charakter. Dobrą renomą wśród zwolenników biegówek cieszą się też Góry Izerskie. Oferują sporo dobrze utrzymanych tras oraz łagodny teren z łagodnymi podejściami i łagodnymi zjazdami. Z kolei Karkonosze, to według pana Tadeusza, mekka narciarzy biegowych. Głównie z

względu na ich obszar i nastawienie na turystę. Z czeskich gór odpowiednie są też Jesioniki. – Leżą niedaleko, jeśli więc zerwać się wczesnym rankiem, to można w jeden dzień zaliczyć przejazd na biegówkach z Ramzowej aż na Skrzitek – przekonuje T. Farnik. Ze słowackich gór poleca głównie Wielką Fatrę. Mała Farta czy Niskie Tatry są, jego zdaniem, zbyt strome. To już raczej teren dla skialpinistów.

DUCH RYWALIZACJI

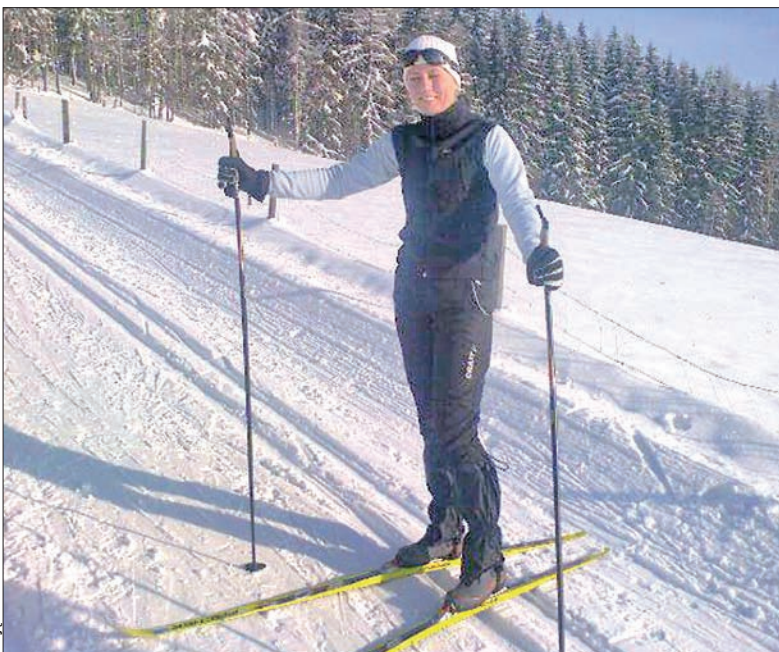
Danuta Siderek jest absolwentką krakowskiej AWF oraz nauczycielką wychowania fizycznego. Jej mąż jest sędzią sportowym. To dlatego na nartach nie wystarcza jej zwykła rekreacja. To może te właśnie względy sprawiły, że postanowiła jeździć na biegówkach nie tylko dla własnej przyjemności, ale również zmierzyć swoje siły w konkurencji innych biegaczy. – W 2010 roku postanowiłam wystartować w Biegu Piastów. Zapisalam się razem ze znajomymi ze Szwecji, którzy akurat w tym czasie u nas bawili. Bieg Piastów to wspaniała zabawa połączona z rywalizacją. Startować może każdy – dziecko i babcia, profesjonalista i narciarz od święta. Ważne, żeby dobiec do celu

– przybliżyć podstawowe reguły gry pani Danuta. Wspomina, że w owym 2010 roku śnieg specjalnie nie dopisał i nie bardzo było gdzie trenować. Niemniej co srode, kiedy akurat wypadało jej mniej zajęć, wyruszała do Mostów i tam trenowała na pętli miejscowego ośrodka narciarskiego. Systematyczny trening przyniósł wymierny efekt. W biegu na 10 km zajęła piąte miejsce w swojej kategorii wiekowej. W następnych latach namówiła do udziału również znajomych z Czeskiego Cieszyna – m.in. T. Farnika z żoną. Ich nazwiska już teraz można znaleźć na tegorocznej liście startowej Biegu Piastów, który odbędzie się w dniach 1-3 marca w Jakuszykach.

BIEGÓWKI CZY ZJAZDÓWKI?

Co jest lepsze? Biegówki czy zjazdówki? Na takie pytanie nie ma odpowiedzi, tak samo jak świat nie jest czarno-biały. Każda z tych dyscyplin daje coś innego, a każdy co innego lubi i oczekuje.

Pasjonaci biegówek mówią głównie o wspaniałych krajobrazach, niezapomnianych widokach i fantastycznej przyrodzie. – Biegówki to wspaniała rzecz. Wyjdę na górę, sunę po grzbieńcu, a wokół mnie biały śnieg skrzy się milionami gwiazdek – zauważa pani Danuta. – Jadąc na biegówkach, mogę oglądać te same krajobrazy, które poznałam latem, wiosną lub jesienią. Przyroda w zimowej szacie wygląda inaczej niż latem, inne są więc przeżycia – dodaje pan Tadek. – Na biegówkach człowiek o wiele bardziej się spoci niż na nartach zjazdowych. Jazda na



Biegówki dają człowiekowi poczucie wolności. Danuta Siderek chętnie z niej korzysta.

JAK DOBRAĆ SPRZĘT

Narciarstwo biegowe to oszczędny sport. Narciarz biegowy nie wydaje pieniędzy na wyciągi narciarskie. Również sam sprzęt kosztuje mniej niż w przypadku narciarstwa zjazdowego. Przekonałam się o tym, odwiedzając sklepy sportowe w Czeskim Cieszynie i Hawierzowie. Oczywiście nie pytałam o sprzęt dla zawodowca, ale dla „niedzielnego” narciarza, który jazdę na biegówkach chce traktować jako miły wypoczynek. Oto, czego dowiedziałam się od fachowców.

Narty: Długość biegówek zależy nie tylko od wysokości narciarza, ale również od jego masy ciała. Jeżeli nie chcemy zwracać sobie głowy ze smarowaniem nart, lepiej wybrać biegówki z łuskami w środkowej części ślizgu. Te ułatwią nam wyjście pod górę bez martwienia się o odpowiedni wosk i temperaturę. Cena powyżej 2000 koron.

Kije: Powinny być długie (co najmniej do wysokości ramienia) i porządne. Dla biegacza kije nie są dodatkowym elementem, ale równie ważną częścią wyposażenia jak same biegówki. Dlatego nie warto na nich oszczędzać. Ważne jest, żeby paski można było dobrze dopasować do wielkości dłoni. Kije powinny pomagać w biegu, a nie przeszkadzać. Cena powyżej 1500 koron.

Buty: Ciepłe, wygodne i z dobrego nieprzemakalnego materiału. Takie można kupić w cenie ok. 2000 koron

Wiązanie: Bez wiązania but nie będzie trzymać się narty. Pomoże nam je dobrać sprzedawca odpowiednio do buta. Cena ok. 1000 koron.

Kiedy wybieramy się na biegówki, powinniśmy pamiętać, że narciarstwo biegowe jest sportem niezwykle rozgrzewającym. Na biegówkach nawet zmarzluchom robi się ciepło. Dlatego ubranie powinno być lekkie i dobrze odprowadzające pot. (sch)

biegówkach poprawia kondycję, ale wymaga też odpowiedniego wysiłku. To taki sport dla zdrowia – podkreśla pani Danusia. – Na nartach biegowych człowiek może poruszać się bez ograniczeń. Zimą trudno dotrzeć na piechotę do wielu miejsc. Biegówki to umożliwiają – dorzuca pan Tadek.

Pomimo aż tylu argumentów przemawiających za biegówkami oboje nadal pozostali wierni również nartom zjazdowym. Dlaczego? – Ze względu na radość z szybkości – mówią zgodnie. Biegówki nie muszą być bowiem alternatywą dla nart zjazdowych i odwrotnie. Jedne i drugie mogą się doskonale uzupełniać.

BEATA SCHÖNWALD

REKLAMA

PROMOCJA NOWOROCZNA !!!

Zamów kuchnię teraz a gratis otrzymasz

- wizualizację kuchni w 3D
- 3 szuflady tandembox **blum** z cichym domykaniem
- bezpłatny transport i montaż * / dot. marca 2013 r./

Kuchnie pełnych dobrych smaków w 2013 roku życzy

MS MEBLE MALYJUREK

tel. +420 558 080 038 www.ms-meble.pl

O wędrówkach po Cieszynie i jego podziemiach

O rozmowę poprosiłam Tadeusza Kopoczka, miłośnika regionu, wieloletniego dziennikarza i fotoreportera „Głosu Ziemi Cieszyńskiej”. Kiedy spotykamy się w Café Muzeum, pokazuje mi zdjęcie muzealnego budynku, w którym się znajdujemy, zrobione po pożarze w roku 1942, który go zniszczył. W swoich zbiorach ma fotografie niemal każdego zakątka miasta nad Olzą, a także wiele dokumentów i publikacji dotyczących regionu. Cieszyn poznał nie tylko wzdłuż i wszerz, bo z Ochotniczą Grupą do Penetrowania Lochów i Podziemi Cieszyńskich dotarł też pod jego powierzchnię.

Śladami historii miasta schodził pan chyba cały Cieszyn? Czy jest jeszcze jakiś zakamarek tego miasta, do którego pan nie zajrzał?

Właściwie nie ma takiego miejsca. Mogę powiedzieć, że spenetrowałem nawet to, co jest pod ziemią, kiedy w 1969 roku założyłem Ochotniczą Grupę do Penetrowania Lochów i Podziemi Cieszyńskich.

Co w takim razie znajduje się pod Cieszynem?

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że pod Cieszynem znajdują się rozległe podziemia. Miasto średniowieczne, otoczone murem obronnym, ze względów bezpieczeństwa nie mogło się rozrastać wszcz. Magazyny i składowiska można było umieścić tylko pod ziemią. A Cieszyn znajdował się przecież na skrzyżowaniu ważnych szlaków handlowych, był także w XVII wieku miastem targów międzynarodowych.

Skąd wziął się pomysł założenia grupy do podziemnych poszukiwań?

W 1969 roku doszło do kilku zdarzeń, które w efekcie doprowadziły do zainteresowania podziemiami. Robotnicy komunalni, którzy wykonywali wtedy prace ziemne, zauważali dziwne zdarzenia. Kiedy na przykład wybili jakiś otwór, narzędzia wpadały pod ziemię, nie wiadomo gdzie. Podobnych przypadków było kilka. Poinformowałem mnie o tym kierownik wydziału gospodarki komunalnej magistratu, a ja napisałem wtedy artykuł w „Głosie Ziemi Cieszyńskiej” o tym, co kryje się pod Cieszynem. Po tym artykule odezwało się wiele osób. Mówili, że pod Cieszynem faktycznie są podziemia, opowiadali różne historie. Na przykład, że można przejechać konno tunelem z rynku aż do zamku. Tak zrodziła się myśl, żeby stworzyć ochotniczą ekipę do spenetrowania cieszyńskich podziemi.

Wcześniej nikt o tych podziemiach nie wiedział?

Wiedzieli o nich wielu mieszkańców. Kiedy powstała nasza ekipa, w „Głosie Ziemi Cieszyńskiej” zaczęła się regularnie ukazywać rubryka pod nazwą „Szukamy śladów starego Cieszyna”. Na jej łamach za każdym razem informowaliśmy, gdzie byliśmy, co odkryliśmy, czego dowiedzieliśmy się od ludzi i kto nam te wiadomości dostarczył. To spowodowało lawinę informatorów. Kolejne osoby przychodziły do nas z różnymi wiadomościami i historiami, czasami zmyślonymi, ale i tak można było wyłowić z tego dużo ciekawych informacji. Zebraliśmy wtedy wiele dowodów na to, że pod Cieszynem znajdują się rozległe, niezbadane jeszcze podziemia. Mieliśmy zresztą takie przykłady z Kłodzka, Jastki czy Sandomierza.

Władze miasta oddelegowały część naszej ekipy do Sandomierza. Początkiem lat 70. przeprowadzono tam akcję ratowania

miasta. Sandomierz położony jest na lessie, a kiedy woda przeniknęła do gleby, stała się zagrożeniem dla sandomierskiej starówki, ponieważ less w kontakcie z wodą traci wytrzymałość. Miasto zaczęło się sypać, a pod nim były czterokondygnacyjne piwnice. Zaczęto prace zabezpieczające, a po ich zakończeniu udostępniono podziemną trasę do zwiedzania, szlak liczący 485 metrów.

Coś podobnego chciał mieć również Cieszyn, ale społecznymi siłami nie dało się tego zrobić. Kiedy zobaczyliśmy, z jakim sprzętem tam pracują, opadły nam ręce. Mieli świdry, echosondy elektroniczne, kamery i dobre oświetlenie. Ale dzięki temu Sandomierz jest teraz piękny, wypielęgnowany, to perełka renesansu. Cieszyn też mógłby być taki, ale to przerosło jego możliwości. Do Sandomierza skierowano przedsiębiorstwo robót górniczych, mieli miliony na prace i sprzęt, był tam sztab naukowców.

Jak wyglądały wasze wyprawy? Co zabieraliście ze sobą?

Do podziemi zapuszczaliśmy się trzy lata. Było wśród nas dwóch sztygarów, którzy załatwili nam z kopalni kaski z lampami. Zawsze szedł z nami lekarz i sanitariusz z apteczką pierwszej pomocy. Za każdym razem powiadamiane były policja i straż pożarna, a w dwóch największych zakładach pracy w Cieszynie – w Celmie i w fabryce narzędzi – w czasie naszych wypraw oddziały samoobrony miały ostry dyżur, żeby w razie czego byli gotowi natychmiast wsiąść w samochód i przyjechać pomagać odsypywać gruzy. Pod tym względem byliśmy naprawdę dobrze zorganizowani, ale nie mieliśmy żadnego sprzętu poza kilofem i łopatą.

Penetrowanie podziemnych piwnic było bardzo niebezpieczne?

To była cholernie niebezpieczna akcja! Chcieliśmy się nawet ubezpieczyć, ale PZU zażądało stawki jak dla górników, a przecież robiliśmy to wszystko społecznie. Kiedyś odkryliśmy podziemne lochy pod kościołem św. Krzyża. Od strony zakrystii drążyliśmy pionowy szyb. Wydobyliśmy stamtąd



Tadeusz Kopoczek z wykładem w Kole MZC w Zebrzydowicach.

fantastyczne rzeczy, piękną ceramikę. To była taka archeologiczna praca. Ale któregoś dnia na dnie tego szybu zobaczyliśmy wielki głaz. Oberwał się i spadł tam kawałek fundamentów kościoła. Kiedy to zobaczyliśmy, ugięły się pod nami nogi. Gdyby ktoś tam wtedy pracował, w najlepszym razie zostałby kaleką do końca życia, a my wylądowalibyśmy w więzieniu. Ostatecznie otrzeźwiła nas wyprawa do podziemi pod Wieżą Piastowską, nasza ostatnia ekspedycja. Loch był dosyć głęboko. Jeden z chłopaków wszedł tam po drabince sznurkowej, ale błyskawicznie wrócił na górę. Okazało się, że znalazł tam niesamowity arsenał niewypałów z II wojny światowej – miny i granaty, które wystraszyły nas nie na żarty. Miasto natychmiast ściągnęło saperów, zamknięto dostęp na Górę Zamkową i wszystko stamtąd wywieziono. To był ostateczny znak, że amatorskimi sposobami, mimo najlepszych chęci, nie da się tego przedsięwzięcia zrealizować.

Miasto nie chciało się tym zająć? Czy w późniejszych latach już nie powracano do tego tematu?

Miasto musiało mieć na to pieniądze, a środki na kulturę były bardzo ograniczone. W roku ubiegłym przypomniano sobie o tych podziemiach, burmistrz zainteresował się tym tematem, chciał wiedzieć,

co tam jest, jak się do tego dostać. Władze miasta były pełne entuzjazmu, chciały działać, ale kiedy dowiedzieli się, ile trzeba by było wyłożyć na to pieniędzy, zrezygnowali. Powstała jednak zarejestrowana w sądzie grupa entuzjastów podziemi, która postanowiła, że doprowadzi do odnalezienia tych podziemnych przejść i stworzenia pod miastem szlaku turystycznego. Na razie wszystko jest w sferze zamierzeń. Jestem jednak pewien, że pod miastem znajdują się takie miejsca, że można by stworzyć cudowny szlak turystyczny.

Co znajduje się w pańskich zbiorach dotyczących regionu?

Zbieram wszystko, co zostało wydane, a ma związek z Cieszynem, z całym Śląskiem Cieszyńskim czy ze Śląskiem ogólnie. Najbardziej interesuje mnie oczywiście Śląsk Cieszyński. W latach 60. zacząłem zbierać i reprodukować stare fotografie, które przynosili do naszej redakcji czytelnicy. Mam to na filmach, skatalogowane. Tych negatywów jest w sumie niecałe 20 tysięcy. Sam również robiłem zdjęcia, w „Głosie Ziemi Cieszyńskiej” pracowałem także jako fotoreporter.

Chodził pan po mieście, próbując zobaczyć miejsca z tych starych zdjęć i widokówek? Odnajdował pan budynki i miejsca,

które się zmieniły, albo przestały istnieć?

Tak robiłem, chociaż żałuję, że nie traktowałem tego bardziej poważnie. Wydawało mi się, że na to zawsze będzie czas, a potem się okazało, że jest za późno.

Podobno ma pan również fotografie związane z katastrofą lotniczą Żwirki i Wigury pod Cierlickim?

Tak. To ja wydobylem na światło dzienne fakt ufundowania w 1937 roku przez społeczeństwo polskie dzwonu pamięci, który miał zawisnąć na specjalnej wieży na Żwirkowisku. Dzwon odlewała w Przemyśle firma Felczyńskich, a ludzie oddawali na ten cel srebro i złoto, żeby dzwon miał dobre brzmienie. Kiedy dzwon pojawił się w Cieszynie, wystawiono go na rynku na specjalnej platformie. Miał zostać przewieziony do Cierlicka, ale stosunki polsko-czeskie były wtedy bardzo napięte i Czesi się na to nie zgodzili. W 1938 roku, po zajęciu Zaolzia, były inne, ważniejsze sprawy, więc ustawiono dzwon na podwórzu muzeum. W 1939 roku przyszedli Niemcy, a dzwon został przetopiony na niemiecką broń.

Jako fotoreporter dokumentował pan również ważne, czasem przełomowe wydarzenia w naszym regionie?

Oczywiście. Byłem na przykład pod teatrem w Czeskim Cieszynie, kiedy Edward Gierek wraz z pierwszym sekretarzem Komunistycznej Partii Czechosłowacji z Ostrawy, Oldřichem Voleníkiem, sadzili lipę przyjaźni. Potem jako jedyny fotografowałem 9 maja 1968 roku słynny wiec w Czeskim Cieszynie, który miał zapobiec wkroczeniu wojsk rosyjskich do Czechosłowacji.

Przez całe życie był pan związany z dziennikarstwem. Jak ocenian pan kondycję dzisiejszej prasy polskiej?

To niebezpieczne pytanie! Niestety muszę powiedzieć, że dziennikarstwo schodzi na psy. Wciąż tylko skandale, pogon za sensacją. Nie mówiąc już o języku, jakim posługują się dziennikarze. Kiedyś zresztą nasz warsztat wyglądał inaczej, nie było takiej techniki. Wszystko się samemu notowało – mam jeszcze całą stertę notesów. Kiedy zamawiało się rozmowę telefoniczną z Istebną, to można ją było otrzymać za dwa dni. Wszędzie należało pojechać, a nie łączyć przez telefon, jak dziś. Mój sprzęt fotograficzny ważył 17 kilogramów, a wszędzie musiałem z nim dojechać osobiście, porozmawiać z ludźmi, zebrać informację. To zabierało dużo czasu, a po powrocie do domu trzeba było jeszcze wywołać zdjęcia i napisać tekst na maszynie. Przypnę, że była to bardzo żmudna praca, metoda króla Ćwiczka, ale innej technologii wtedy nie było.

Rozmawiała: ELŻBIETA PRZYCZKO



Rynek w Cieszynie około roku 1895.

ROBERT BORSKI, WÓJT GRÓDKA: Z MOICH BADAŃ WYNIKA, ŻE PRAKTYCZNIE WSZYSCY SĄ TU ZE SOBĄ SPOKREWNINI

Wielka historia małej miejscowości

Drzewo genealogiczne Gródka jest jak ogromny krzew winogron: ze wspólnego korzenia wyrosły gałęzie, na których rozwinęły się grona. Każda kiść to oddzielna rodzina złożona z kilkunastu, kilkudziesięciu owoców. Płynie w nich ten sam sok. Wszystkie pochodzą z tej samej, prastarej winorośli...

Poszukiwanie śladów przeszłości przypomina pracę detektywa. Dla Roberta Borskiego, wójta Gródka, to hobby. Pasją, którą odkrył na długo przed tym, nim zasiadł w urzędowym fotelu. Ma 41 lat, żonę i troje dzieci. W przeszłości marzył, by zostać naukowcem. Studiował biologię w Ołomuńcu. Nad mikroskopem i lupą zwyciężyła jednak chęć pomagania, przerabiania szarej rzeczywistości na lepszą, bliższą ludziom. Cieszy go każdy kawałek nowej drogi, wybudowany dom i metr chodnika. Śmieje się, że po imieniu zna gródeckie kamienie i dziury. Ale potrafiłby też wymienić z nazwiska mieszkańców Gródka. Nie tylko tych współcześnie żyjących, bo jako genealog-amator zbadał historię kilku pokoleń wszystkich lokalnych rodów. Zaczął od odnalezienia własnych przodków. Nie jest historykiem, raczej miłośnikiem badań historycznych. Podchodzi do nich w sposób naukowy, stara się zachować właściwy dystans. Nie uwzględnia hipotez czy domysłów. Jako pewnik przyjmuje jedynie to, co znajdzie w wiarygodnych źródłach. Kieruje się łacińską dewizą „semper veritas” – zawsze prawda.

Do czego potrzebna jest znajomość rodzinnych korzeni?

To jest pytanie z rodzaju „po co żyjemy, skąd jesteśmy, dokąd idziemy?” – jedno z odwiecznych pytań ludzkości.

Czy informacje, które pomaga pan odnaleźć, mogą coś zmienić w życiu ludzi? Szczególnie, jeśli dużą jego część mają już za sobą?

Coraz więcej ludzi interesuje się swoim rodowodem. Poszukują różnych wartości. Stworzenie drzewa genealogicznego dla jednych będzie jedynie poznaniem rodzinnych korzeni, dla innych – sprawą niezwykle cenną. Taką, którą przekazuje się następnym pokoleniom jako dar. Z przestaniem, aby pielęgnowali go i podtrzymywali. Bo nawet jeśli ród w przyszłości wygaśnie, na zawsze pozostanie po nim ślad.

Dlaczego zajął się pan genealogią Gródka?

Piętnaście lat temu postanowiłem zbadać pochodzenie własnej rodziny. Ale kiedy poznałem już wszystko – stwierdziłem, że nadal chciałbym się tym zajmować. Genealogia mnie zafascynowała. Do tego stopnia, że gdy rozpracowałem Gródek, zacząłem badać okoliczne wioski. Obecnie zajmuję się doliną jabłonkowską. Praca genealoga to długie godziny spędzone przed komputerem. Przeglądam w internecie stare księgi parafialne, czytam metryki urodzin i zgonów. Zwykle są to rękopisy, zachowane w oryginale. Często pisane łaciną, albo szwabachą – gotycką odmianą niemieckiego. Nie wszystko znajdziemy jednak w sieci. Dlatego czasem trzeba pojechać do kościoła, poprosić o wgląd w stare dokumenty, pochodzić po miejscowym cmentarzu. Nie zawsze

udaje się dotrzeć do potrzebnej informacji. Zdarza się, że oryginalnych źródeł nie ma. Metryki się zgubiły, kościół został strawiony w pożarze i wszystko się spaliło, albo księgi zabrała powódź.

I co wtedy?

Zachowuję puste miejsce i idę dalej. Bywa, że na zaginione informacje trafiam później, przypadkiem. Ale zdarza się i tak, że w drzewie genealogicznym danej rodziny pozostaje luka. Na przykład

Fot. MONIKA WAWRYKA



Robert Borski, wójt Gródka: – Dziś wszystko znajdziemy w internecie, dlatego nawet badania genealogiczne można prowadzić bez wychodzenia z domu.

okazało się, że metryki jabłonkowskie są niekompletne. Brakuje tam trzydziestu lat w historii. Nikt nie wie co się stało z dokumentami. A to przecież niemal cała generacja ludzi. W takiej sytuacji nie da się jednak nic zrobić. Tego okresu nie da się już odtworzyć.

Trzeba mieć jakieś szczególne predyspozycje, żeby zajmować się genealogią?

Myszę, że nie. Po prostu trzeba się tym interesować i chcieć to robić. Na pewno liczą się też cierpliwość i systematyczność.

Jest pan prawdopodobnie jedynym samorządowcem-genealogiem w całej Republice Czeskiej. Czy mieszkańcy wiedzą, że ich wójt ma takie hobby?

W Gródku ludzie wiedzą czym się zajmuję po pracy. To żadna tajemnica. Często przychodzą do mnie i proszą o informacje dotyczące swoich przodków, albo żebym zajął się zbadaniem konkretnego rodu

Przychyła się pan do takich prób?

Oczywiście. Robię to za darmo i po godzinach urzędowania. Tylko na efekty tej pracy trzeba czasem długo czekać. Nie każdy to rozumie. Ludzie chcieliby wiedzieć natychmiast. Ale jeśli jest to rodzina, którą znam – jestem w stanie udzielić informacji od razu.

Jest pan jedyną osobą w Gródku, która pasjonuje się genealogią?

Oprócz mnie są jeszcze dwie, trzy

pochodzi jedna trzecia obecnych mieszkańców Gródka.

Czy przez badania genealogiczne można poznać coś więcej, niż tylko imiona, nazwiska, daty narodzin i zgonów?

Samo odczytanie personaliów czy dat to jeszcze nie wszystko. Trzeba przy tym umieć powiązać daną osobę, przyporządkować ją do odpowiedniego miejsca w rodzie. Niezwykle łatwo o pomyłkę. Czasami zdarza się, że trafiam na osoby o identycznych imionach i nazwiskach, a nawet urodzone w jednym dniu.

drzewo genealogiczne własnej rodziny?

W swoich badaniach czerpię z publicznych źródeł. Wszystkie te informacje są ogólnodostępne. Trzeba je tylko umiejętnie pozierać i poskładać w całość. Jeszcze kilka lat temu jeździłem do państwowego archiwum i tam, na miejscu fotografowałem metryki. Później spisywałem to wszystko w domu. Teraz dokumenty publikowane są w internecie. Problem w tym, że nie każdy będzie umiał odczytać zawarte w metrykach zapisy.

Na początku miał pan trudności z ich rozszyfrowaniem?

Oczywiście. Zanim doszedłem do wprawy, musiałem się wiele nauczyć. Przede wszystkim łacińskiego i staroniemieckiego nazewnictwa. Ale największą trudnością były dla mnie nieczytelne rękopisy niektórych księży. Dziś jednak jestem w stanie w dość krótkim czasie przebadać konkretny ród, do czasów sięgających dwóch, trzech wieków wstecz. Dawniej musiałem poświęcić na to kilka miesięcy.

Co stanie się z tymi zbiorami? Czy myślał pan kiedyś o wydaniu ich w formie monografii historycznej?

Materiału jest tak dużo, że z pewnością nie zmieściłby się w jednej książce. Ale naturalnie chciałbym to kiedyś opublikować. Póki co, wciąż prowadzę badania. Obecnie obszarem moich zainteresowań są okolice byłego powiatu jabłonkowskiego, od Wędryni po Jabłonków. Co będzie dalej, nie wiem. Ale jestem przekonany, że pracy genealogicznej mam tu jeszcze na kolejne trzy dekady.

Trudno jest pogodzić pracę wójta z badaniami genealogicznymi?

Genealogią zajmuję się piętnaście lat, a wójtem jestem dopiero trzy. Genealogii nie poświęcam obecnie tyle czasu, co kiedyś – zanim objąłem stanowisko. Teraz przede wszystkim skupiam się na pracy zawodowej. Pochłania najwięcej czasu, ale jest też moją największą pasją. Jeszcze większą, niż genealogia. Studiowaniem rodów zajmuję się wyłącznie w domu – nocami, kiedy nikt mi nie przeszkadza. Na badania wykorzystuję też urlopy.

Co na to pańska rodzina?

Na szczęście rodzinie to nie przeszkadza. Mam wyrozumiałą żonę i dzieci, które nie wymagają już ciągłej opieki. Wspierają mnie. Dzięki temu mogę poświęcać się nie tylko pracy, ale i swojemu hobby. I pewnie nawet kiedy przejdę już na emeryturę – nadal będę coś badał. Taką mam naturę. Lubię to. Po prostu naprawdę to lubię.

Rozmawiała:

MONIKA WAWRYKA

osoby. Tworzymy taki mały, nieformalny klub. Współpracujemy, przekazujemy sobie doświadczenia. Jedna z tych osób zajmuje się genealogią własności ziemskich: badaniem, która ziemia i w jakiej wielkości dawniej do kogoś należała. To też niezwykle ciekawe. Mnie jednak interesuje wyłącznie genealogia poszczególnych rodów.

Co w tym jest aż tak fascynującego?

Najbardziej chyba to, że spajam ludzi. Łączę osoby, które pozornie są sobie obce. Ale kiedy przyjrzeć się bliżej – okazuje się, że mają wspólne korzenie. Są rodziną. Nie tylko w drugim czy trzecim pokoleniu, ale w siódmym, dziewiątym czy jeszcze dalej. Tak było na przykład z rodem Turoniów. Początkowo były dwa: z Gródka, liczący około pięć tysięcy osób, a także Bystrzycy, liczący cztery tysiące. Okazało się, że oba rody są ze sobą spokrewnione. Powiązałem ich i dzięki temu powstał jeden duży ród, liczący dziewięć tysięcy osób. To już naprawdę ogromna rodzina.

A ilu rodzinnych powiązań doliczył się pan w samym Gródku?

Z moich badań wynika, że praktycznie wszyscy są tu ze sobą spokrewnieni. Tworzymy jedną, wielką rodzinę. Dziesięć generacji temu żył na naszym terenie pewien człowiek o nazwisku Rabin. Urodził się około 1750 roku. Miał bardzo liczne potomstwo, wnuki i prawnuki. Kolejni jego potomkowie mieszkali i budowali ród w jednym miejscu. Okazało się, że od pana Rabina

Dawniej powszechnie praktykowano nadawanie w obrębie rodziny takich samych imion. Poza tym nie znano ich wiele. Dziewczynki nazywano: Anna, Zuzanna, Ewa, bądź Maria. Chłopców: Jan, Jerzy, Adam lub Paweł. Dlatego mogło się zdarzyć, że na przykład w Gródku i Bystrzycy konkretnego dnia urodziło się dziecko z różnych rodziców, ale o tym samym nazwisku i imieniu. Albo w jednej rodzinie żyły dwie siostry o identycznych imionach. Samych Janów Sikorów mam już w bazie ponad trzystu. Stąd tak ważna jest dokładność i skrupulatność genealoga. Cały czas trzeba myśleć, sprawdzać, porównywać. Niedopuszczalny jest choćby najmniejszy błąd, bo wtedy wszystkie kostki układanki przestałyby do siebie pasować. Badacz powoli odkrywa kolejne karty historii. Dowiaduje się kto był czym kuzynem, dziadkiem, stryjem, wnukiem... To są niezwykle ważne, rodzinne powiązania. Ale też wiadomo, kto jakiej był profesji, w jakich okolicznościach skończyło się jego życie: czy chorował, zginął na wojnie, albo stał się ofiarą zabójstwa. Czasem okazuje się, że na przykład współcześnie żyjąca, zwyczajna rodzina ma szlacheckie pochodzenie. Ich przodkowie byli ziemskimi posiadaczami, mieli majątki i własny herb. Takie historie bywają dla ludzi zaskakujące. Szczegółowym badaniem szlachetności rodów zajmuje się jednak odrębna dziedzina, heraldyka.

Czy każdy mógłby sam stworzyć

Erasmus – przygoda na całe życie

Międzynarodowa współpraca szkół wyższych, wyjazdy studentów za granicę na część studiów i praktykę oraz liczne projekty – tak w skrócie można scharakteryzować program Erasmus, który powstał w 1987 roku. W projekcie Unii Europejskiej będącym częścią programu „Uczenie się przez całe życie” bierze udział także wielu studentów pochodzących z Zaolzia. Przyjrzyjmy się zatem ich wrażeniom z wyjazdów zagranicznych.

PO POLSKU W BAŃSKIEJ BYSTRZYCY

Nazwa Erasmus nawiązuje do imienia holenderskiego filozofa, teologa i humanisty, Erazma z Rotterdamu (1466-1536). Nie bez przyczyny. Erazm, jak inni wybitni ludzie renesansu, kształcił się w wielu uczelniach w różnych krajach Europy. – W związku z tym, że studiuje język polski na Uniwersytecie Ostrawskim, pierwotnie chciałam wyjechać na Erasmusa do Polski, ale w końcu zwyciężyła słowacka Bańska Bystrzyca. Kiedy na początku września ub. roku pakowałam walizki, nie myślałam, że przeżyję aż tak wspaniałą przygodę – przyznała Barbara Mlynek z Trzyczna, która z Erasmusa wróciła przed kilkoma dniami. Językiem, którym studenci posługują się za granicą, jest głównie angielski. Dotyczy to również sąsiedniej Słowacji. – Z racji tego, że Erasmusa zaliczało wraz ze mną wielu innych obcokrajowców, na co dzień używaliśmy głównie języka angielskiego. Cieszę się z tego bardzo, ponieważ wcześniej nie miałam takiej możliwości. Z kolei zajęcia na wydziale polonistycznym prowadzone były oczywiście w języku polskim. Oprócz tego zaliczyłam przedmioty z języka słowackiego i niemieckiego. Pozytywnie oceniam zarówno świetne i ciekawe zajęcia na uczelni, ale przede wszystkim to, że mogłam poznać nowych ludzi z różnych zakątków świata. Atmosfera była świetna, zwłaszcza przed świętami Bożego Narodzenia. Wspólnie braliśmy udział w zajęciach, wycieczkach i imprezach – podkreśliła. Podróżowanie po kraju, w którym studenci zaliczają część swoich studiów, ułatwia im organizacja ESN (ogólnoeuropejska sieć organizacji studenckich) oraz stypendium. Barbara Mlynek zwiędziła nie tylko Bańską Bystrzycę i jej okolice, ale także Zwolen, Bratysławę, Bojnice, Trenčyn, Wiedeń i Budapeszt. – Większość wycieczek organizowaliśmy we własnym zakresie, każdy wyjazd był oryginalny. Erasmus to jedna wielka przygoda, którą polecam wszystkim. To był najlepszy okres całych moich studiów. Teraz jednak muszę wracać do „rzeczywistości” i zdać ostatni rok studiów. Na



Grupa studentów zagranicznych zaliczających program Erasmus podczas wizyty w Budapeszcie.

szczęście większość przedmiotów mam już zaliczonych, tak więc mogę mieszkać w domu i raz w tygodniu dojeżdżać do Ostrawy – dodaje Barbara Mlynek.

SŁONECZNA ALMERIA

W programie Erasmus uczestniczy 27 państw Unii Europejskiej, kraje kandydujące oraz Islandia, Lichtenstein, Norwegia i Szwajcaria. Studenci mają więc szansę wyjechać do mniej lub bardziej odległych państw. Agata Ondraszek z Wędrzyni, która studiuje turystykę i rekreację/turystykę międzynarodową na AWF w Krakowie, postawiła na Universidad de Almería w Hiszpanii. – Na naszej uczelni nie ma zbyt dużego wyboru co do państw i miast, do których można wyjechać na Erasmusa. Wybrałam Hiszpanię, ponieważ uwielbiam język hiszpański, Hiszpanów i ich kulturę. Almería to miasto studenckie, tanie w porównaniu z Malagą czy Grenadą. Kojarzona jest w dodatku z plażami, imprezami i uniwersytetem usytuowanym blisko

plaży. Właśnie fakt, iż uwielbiam morze, przesądził o tym, że w letnim semestrze 2012 roku wyjechałam do Almerii – przyznała Agata Ondraszek. Zdobycie przepustki i biletu w ramach programu Erasmus nie jest jednak proste. Zainteresowanie wyjazdem jest często o wiele większe, aniżeli liczba wolnych miejsc w danym uniwersytecie. Komisja decydująca o wyjazdach zagranicznych kieruje się najczęściej średnią ocen, poziomem języka, w którym student podejmie naukę za granicą oraz wynikiem rozmowy kwalifikacyjnej. Zdaniem Agaty Ondraszek (i nie tylko) zdecydowanie warto podjąć ten wysiłek i ubiegać się o wyjazd za granicę, choć początki bywają zazwyczaj trudne. – Pomijając chaos, z którego słyną Hiszpanie, czas spędzony w ich kraju był cudowny. Na zajęcia chodziliśmy wraz z miejscowymi studentami, dlatego czasami było trudno, ponieważ profesorowie zapominali, że nasz hiszpański nie jest na poziomie rodzimych mówców. Wszystkie zajęcia, nawet te które miały być według planu w języku angielskim, prowadzone były po hiszpańsku (a raczej w gwarze andalu), gdyż większość Hiszpanów z południa po prostu nie zna angielskiego. Mieliśmy zatem ogromną motywację do nauki języka – wspomniała Agata, która następnie dodała, że chwile spędzone w ramach Erasmusa zalicza do najlepszych w swoim życiu.

UKOCHANE WŁOCHY

Na Zachód wybrała się także Regina Gembala z Trzyczna, absolwentka menedżmentu i marketingu na Uniwersytecie Tomasza Bati w Zlinie. Dwa lata temu wyjechała na semestr letni do włoskiego Trento. – Pierwotnie w ogóle nie chciałam skorzystać z oferty Erasmusa, ale z racji tego, że mój chłopak musiał zaliczyć semestr za granicą i wybrał Włochy, ja też w końcu zdecydowałam się na wyjazd. Udało się. Ja wyjechałam do Trydentu, a mój chłopak Mi-

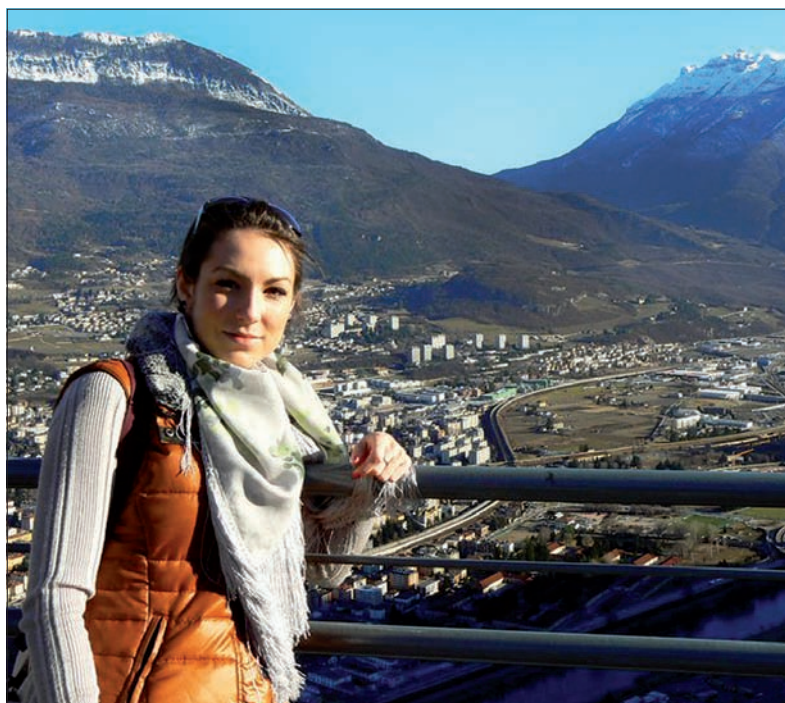
chał do Mediolanu. Zasmakowaliśmy prawdziwego włoskiego życia, mieszkałam w jednym z najładniejszych miast pod Alpami – opowiada Regina Gembala, która we Włoszech poznała bardzo wielu nowych przyjaciół. – Okres spędzony we Włoszech wspominam codziennie. Brakuje mi włoskiego stylu życia i kultury. Po Trento i jego okolicach poruszałam się głównie na klasycznym rowerze z koszykiem. To było życie jak z filmu. Szybko przyzwyczaiłam się nie tylko do wysmienitej włoskiej kuchni, ale także do mocnej włoskiej gestykulacji, której nie mogę się pozbyć do dziś – przyznała z uśmiechem Regina. Projekt Erasmus kojarzący się zazwyczaj z dobrą zabawą i nawiązywaniem nowych, międzynarodowych przyjaźni, to przede wszystkim studia. Ich trudność zależy przede wszystkim od wymagań konkretnych wykładowców. – Choć uczestnictwo w zajęciach nie było obowiązkowe, nie opłacało się nie brać w nich udziału. Nie mieliśmy bowiem do dyspozycji żadnych materiałów studyjnych. Poziom uniwersytetu w Trento był bardzo wysoki. Uważam, że studia magisterskie są u nas o wiele łatwiejsze. Na naukę poświęcałam dużo czasu. Relacja pomiędzy nauczycielem a studentem była we Włoszech zupełnie inna, aniżeli w Czechach. Ważna była przede wszystkim dyskusja, wzajemny szacunek. Niestety ja i moja koleżanka ze Zlina nie byliśmy do takiego stylu zajęć przyzwyczajone, dlatego w dyskusjach brałyśmy udział sporadycznie. Powodem tego był również fakt, iż w Zlinie studiowałyśmy menedżment i marketing, a we Włoszech ekonomię i statystykę, a więc nie było to dla nas łatwe – podkreśliła Regina.

SĄSIEDZKA WYMIANA

W ramach studiów uniwersyteckich można wyjechać na semestr lub dwa w różne miejsca. Z racji tego, że część studentów z Zaolzia studiu-

je w Polsce, zdarzyć mogą się nietypowe sytuacje. Osoba studiująca w Polsce, która pochodzi z naszego terenu, może zaliczyć bowiem Erasmusa w jednym z uniwersytetów na terenie Republiki Czeskiej. – Jestem studentką piątego roku psychologii na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Będąc na trzecim roku zaliczyłam Erasmusa na Uniwersytecie Palackiego w Ołomuńcu. Zdecydowałam się na ten wyjazd, bo potrzebna mi była czeska terminologia, zamierzam bowiem podjąć pracę w Czechach – przyznała Agata Olszar z Bystrzycy, która w Ołomuńcu spędziła cały rok akademicki. Erasmus w kraju, w którym się mieszka, może wydawać się nieciekawym, przeżycia Agaty są jednak dowodem na to, że rzeczywistość jest wręcz odwrotna. – Erasmusa spędzony w ładnym historycznym mieście był dla mnie czymś w rodzaju innego świata. Pokochałam Ołomuniec, uniwersytet i ludzi z Erasmusa, z psychologii. Wszystko było bardzo dobrze zorganizowane. Choć biurokracja i załatwianie było sporo, zawsze wiedziałam, do kogo mam się zwrócić o pomoc – dodała Agata, podkreślając, iż jednym z najcudowniejszych doświadczeń w tym programie były spotkania w grupie osób z różnych krańców świata. – I wbrew pozorom osoby wyjeżdżające na Erasmusa nie umieją się perfekcyjnie posługiwać językiem angielskim. Ważne, by się nie bać i mówić po angielsku – powiedziała Agata, która znając język czeski, mogła uczestniczyć w zajęciach z czeskimi studentami. Nie brała więc udziału w specjalnym programie dla cudzoziemców. – Różnic pomiędzy studiami w Polsce i Czechach jest wiele, studia w Ołomuńcu były jednak o wiele lepsze niż te w Katowicach. Zaliczyłam tam mnóstwo ciekawych przedmiotów, najchętniej wspominam psychopatologię, w ramach której mieliśmy pogawędkę z pacjentami oddziału psychiatrii – przyznała. Podobnie jak Agata Olszar, z Polski do Republiki Czeskiej wyjechał na Erasmusa Paweł Wróbel z Bystrzycy studiujący prawo na UŚ w Katowicach. Paweł postawił również na UP w Ołomuńcu, w którym spędził rok akademicki 2010/2011. A od czego zależał jego wybór? – Znam język czeski, a w dodatku w Ołomuńcu miałem dużo znajomych. Myślałem wprawdzie o Finlandii, ale życie w tym kraju jest bardzo drogie. Pomimo, że byłam w Czechach, wszystkie przedmioty prowadzone były w języku angielskim. Dzięki temu poprawiłem swoje zdolności językowe – powiedział Paweł. Powrót do macierzystej placówki bywa nie raz trudny. – Po powrocie na UŚ zaliczono mi tylko trzy przedmioty, resztę musiałem zaliczać na czwartym roku, a więc było trudno. W ramach Erasmusa wykładowcy mają często mniejsze wymagania, ale potem trzeba wracać do „normalnych” studiów – przyznał Paweł Wróbel. Nic więc dziwnego, że wielu studentów dopada tzw. syndrom Erasmusa – tęsknota za innym stylem studiowania, innym krajem, za ludźmi, imprezami. No i pojawia się strach, że trzeba odrobić zaległości.

MAGDALENA ĆMIEL



Regina Gembala w Trento.

Zdjęcia: ARC

MACIEJ LEPIATO, ZŁOTY MEDALISTA PARAOLIMPIADY W LONDYNIE:

Wybrałem sport zamiast kanapy

Z uprzedzeniami wobec osób niepełnosprawnych walczy od dawna nie tylko serialowy tasiemiec „Klan”. Także w sporcie znaleźć można wiele przykładów współczesnych bohaterów, którzy udowodnili światu, że wrodzone upośledzenie wcale nie przeszkadza w karierze i pełnowartościowym życiu.

25-letni Maciej Lepiato w zeszłym roku sięgnął po złoty medal igrzysk paraolimpijskich w Londynie, wygrywając w znakomitym stylu rywalizację w skoku wzwyż. Do młodego Polaka należy też rekord świata pod gołym niebem, wynoszący 212 cm. Teraz Maciej Lepiato zauroczył wszystkich podczas mityngu skoku wzwyż „Beskidzka Poprzeczka” w Wędrynie. Polskiego paraolimpijczyka nie przeskoczył w klasyfikacji nawet złoty medalista z „pełnosprawnych” igrzysk w Londynie, Rosjanin Iwan Uchow. – W całym swoim życiu zmierzam w jednym konkretnym kierunku – udowodnić otoczeniu, że my, niepełnosprawni, jesteśmy w gruncie rzeczy pełnosprawni aż do bólu – powiedział „Głosowi Ludu” Maciej Lepiato.

Czy ciężko jest w Polsce walczyć z uprzedzeniami?

W tej materii jest coraz lepiej. Bariery nadal są odczuwalne, ale młodsza generacja podchodzi do tego już trochę inaczej, niż starsze pokolenie. Wstyd i przykrość mi natomiast z innego powodu. W polskich mediach sportu paraolimpijskiego praktycznie się nie pokazuje. Mówią, że to mało medialny sport, a to nieprawda. To pokazały dobitnie w 2012 roku igrzyska paraolimpijskie w Londynie, podczas których wszystkie stacje były rekordy oglądalności. Sprzedano się więcej biletów, więcej osób oglądało igrzyska paraolimpijskie od tych zwykłych. To nowy fenomen, na który polskie stacje telewizyjne w ogóle nie zareagowały. Polska była jedynym europejskim krajem, który nie przeprowadził żadnej relacji na żywo z igrzysk paraolimpijskich. To pokazuje, jak ten sport jest odbierany. Jest spychany na bok. Nie przyciąga tylu sponsorów, pieniędzy, a więc pozostaje na marginesie. Moim zdaniem, właśnie igrzyska paraolimpijskie są idealną okazją do walki z uprzedzeniami, ksenofobią społeczną.

Jesteś porównywany do Oscara Pistoriusa – sprintera, który na sztucznych protezach walczy jak równy z równym z najlepszymi w „zdrowym” peletonie biegaczy...

Zawsze powtarzam, że chcę promować skok wzwyż. I jeśli w dodatku jestem ambasadorem osób niepełnosprawnych, to serce jeszcze mocniej mi bije. Już mi parę osób mówiło, że jestem takim Pistoriusem albo drugą Natalią Parthyką. Wybrałem po prostu sport zamiast kanapy w domu. My, osoby niepełnosprawne, nie możemy się zamykać w czterech ścianach. To my musimy wychodzić do ludzi, przełamywać bariery. Ważne też, by nie zamykać się wyłącznie w świecie sportu, ale zasmakować też innych dobrodziejstw życia. Z pełną świadomością mogę stwierdzić, że można pogodzić szkołę z wyczynowym sportem. Skończyłem kierunek wychowanie fizyczne, obecnie studiuję zaś fizjoterapię.



Maciej Lepiato triumfujący w Londynie...

pię. Wszystko udaje się pogodzić. Jak ktoś ma poukładane w głowie, to znajdzie czas na studia, trening i jeszcze czas wolny, żeby gdzieś pójść z dziewczyną.

Czy możesz przybliżyć czytelnikom istotę twojego upośledzenia?

To wrodzona wada. Chodzi o ścięgno Achillesa, które jest sztucznie przedłużone. Zaraz po urodzeniu przeszedłem dwie specjalistyczne operacje w klinice w Poznaniu. Widziałem to schorzenie nieleczone, nieoperowane i wiem, że lekarze zrobili kawał dobrej roboty. A w lewej nodze mam zanik mięśni pod-

jasna odbijam się na zdrowej nodze. Zauważyłem i sprawdziłem to na własnej skórze, że moje treningi niczym się nie różnią od zajęć zdrowych skoczków. Motoryka jest prawie zbliżona do pełnosprawnych zawodników. W Wędrynie miałem niepowtarzalną okazję, by podglądać, jak trenują najlepsi – Iwan Uchow, Jessie Williams i inni. Każdy start na klasowym mityngu to dla mnie duże doświadczenie.

Jesteś liderem polskiego rankingu, nawet w gronie zdrowych skoczków. Czy to coś mówi o aktualnym stanie lekkoatletyki w Polsce?

wymi sportowcami. A powracając do pytania, to nad kondycją polskiej lekkiej atletyki powinni się zastanowić inni. Brakuje gwiazd pokroju Jacka Wszoly, Artura Parthyki, Roberta Korzeniowskiego. Mamy coraz mniej takich medalowych pewniaków, na których można było liczyć na wielkich imprezach. Gołym okiem, nie tylko po igrzyskach olimpijskich w Londynie, widać, że jest zastój. Dotyczy to głównie logistyki i finansowania sportu w Polsce. Jest nie tak, jak być powinno. Problem leży też w przygotowaniu metodycznym trenerów. Polska jest takim fajnym krajem, gdzie mamy dużo uzdolnionej młodzieży, ale



... i skaczący w Wędrynie.

udzia z minimalnym zakresem w stanie skokowym. Ten staw skokowy tylko minimalnie jest sprawny. Noga jest też o pięć centymetrów krótsza. Przez to, że lewa noga jest słabsza, ta druga musiała wszystko nadrabiać. Zauważyłem, że prawa noga jest dużo silniejsza i postanowiłem postawić na skok wzwyż. Rzecz

No tak, brzmi to niewiarygodnie, ale rzeczywistość w aktualnych tabelach jestem najlepszym skoczkiem w Polsce. Jestem bardzo zadowolony ze startu w Wędrynie. Rezultat 215 cm to najlepszy tegoroczny polski wynik w halowym sezonie. Jako osoba niepełnosprawna udowodniłem też, że można walczyć na równi ze zdro-

jak już się ktoś wybije, to w celu dalszego szkolenia zabierany jest do centralnych ośrodków. A tam 90 procent młodych sportowców nie wytrzymuje natężenia i poziomu treningów. Pojawiają się kontuzje, przewlekłe urazy. A co za tym idzie, pojawiają się też bloki psychiczne, mentalne bariery w głowie zawodnika. Często po ta-

kiej poważnej kontuzji na stadion wraca cień dawnego talentu.

Przypuszczam, że oprócz skoku wzwyż zahaczyłeś też o inne sporty, jak każdy młody chłopak?

Skacze wzwyż od siedmiu lat, czyli stosunkowo niedługo. Zaczynałem z siatkówką na stojąco.

To znaczy?

Chodzi o normalną, klasyczną siatkówkę. Nie ma żadnych różnic, poza tym, że grają w nią osoby niepełnosprawne. Żeby wygrać, też trzeba się nieźle naruszać. Nawet wywalczyłem brązowy medal na mistrzostwach świata w Kambodży. Zerwałem jednak z siatką, ona była takim przerywnikiem w karierze. Wiadomo, teraz liczy się tylko skok wzwyż. I jeżeli zdrowie dopisze, to chciałbym osiągnąć w tym sporcie jak najwięcej. Po igrzyskach paraolimpijskich w Londynie usiedliśmy z trenerem i nakreśliśmy czteroletni plan, gdzie imprezą docelową będą tak klasyczne igrzyska, jak i paraolimpiada. Jeżeli progres się utrzyma, to te plany są realne.

Czyli możemy się spodziewać nowego rekordu świata?

W Londynie skoczyłem 212 cm pod gołym niebem, ale czuję, że mogę skakać dużo wyżej. Nie było jeszcze takiego sezonu w mojej karierze, żebym skakał gorzej. Z roku na rok jest lepiej. Tu, w Wędrynie, podczas „Beskidzkiej Poprzeczki” sam sobie udowodniłem, że mogę mierzyć się ze zdrowymi sportowcami. Na treningu w Polsce skoczyłem nawet 217, a więc jestem optymistą. Dla mnie bardzo ważny jest kontakt z publicznością. Pod tym względem w Wędrynie czułem się wyróżnienie. Kibice oklaskami na stojąco dopingowali wszystkich zawodników, włącznie z outsiderami. Tylko w Londynie zasmakowałem takiej atmosfery. Publiczność w Wędrynie nie musiała mnie nawet długo przekonywać do próby pobicia rekordu świata w mojej kategorii. Czułem, że w ten magiczny wieczór wszystko może się zdarzyć. Szkoda, że nie poskrociłem tych 220 cm, bo zabrakło niewiele. Przede mną jednak nowe wyzwania, sezon dopiero się rozpoczyna.

Muszę jeszcze zapytać o piosenkę, którą wybrałeś do swoich skoków w Wędrynie. Inspirowałeś się może polskimi szczypiornistami?

Chodzi o utwór grupy Weekend, a dokładnie piosenkę „Ona tańczy dla mnie”. Nie wiem, na czym polega fenomen tej piosenki, bo disco polo nie należy do moich ulubionych gatunków. Zgadza się jednak, że ten kawałek towarzyszył występom polskich piłkarzy ręcznych podczas ostatnich mistrzostw świata w Hiszpanii. Pomyślałem, że to na tyle dynamiczny utwór, że idealnie nadaje się do moich skoków.

Rozmawiał:
JANUSZ BITTMAR

POP ART

134

O, goście! A ja taki nieuczestny! Zapraszam do środka na kawę, nowinki muzyczne i garść plotek. Co nowego w szolbiznesie?



KAMP!

KAMP! »KAMP!« (2012)

Kamp! to niezależny, electropopowy projekt wydany własnym sumptem, który w krótkim czasie podbił polską scenę alternatywną. Debiut, jakich mało.

Może ich produkcja jest wtórna, może to tylko hipsterski kaprys i muzyczna nekrofilia, może to i opóźniona polska reakcja na renesans syntezatorowego popu. Mówcie, co chcecie, ale obok debiutanckiej płyty tego łódzkiego objawienia trudno jest przejść obojętnie.

Na nagraniu żyją i występują w symbiozie dwa odmienne klimaty – frontowy atak na wszystkie możliwe klisze muzyki lat 80. („Can't You Wait”, „Sulk”) oraz wykopaliska późnej ery disco w stylu Daft Punk („Cairo”, „Lux Lisbon”, „Melt”). Próżno na płycie szukać organicznych dźwięków, ze światłym wyjątkiem diabelsko funkowego, ostrego basu, który tętni i wibruje na przykład w utworach „Can't You Wait” oraz „Heat”. Resztę wypełniają całe pokłady syntetycznych smyczków, arpeggiatorów, linii basowych i solowych. Od Michaela Jacksona, przez Eurythmics po Jana Hammera. I jeszcze dalej.

Warsztat kompozytorski broni się bez problemu, płyta zawiera 11 mocnych, ambitnych kawałków. Jakkolwiek Kamp! podkrada masowo z dziesiątek klasycznych już nagrań sprzed dwóch, trzech dekad, to po złożeniu tego łupu w całość nowe kompozycje nie cierpią na żadne powtórzenia. Jest różnorodnie, barwnie, ciekawie. To naprawdę kawał dobrej, rzetelnej pracy kompozytorskiej i nagraniowej.

Zawsze śmieszyły mnie narzekania lokalnych zespołów na brak promocji i finansów, bez których rzekomo nie można się wybić. Dzisiaj, w epoce Facebooka i Youtube, nie ma czegoś takiego, jak niedoceniona kapela. Jeżeli zespół przez długie lata nie znajduje odbiorców, to znaczy, że jest do bani. Dobra muzyka sama znajdzie swoich słuchaczy bez dużych inwestycji i wielkiego wydawnictwa – i Kamp! jest tego najlepszym dowodem. Dotarcie na szczyt zajęło im raptem trzy lata, w ciągu których zbudowali potężną bazę fanów, a ich żywiołowe wystąpienia na festiwalach i samodzielnych koncer-

tach spotykają się z niezmiennym zachwytem recenzentów.

Na zakończenie wyznam wam małą, wstydliwą tajemnicę. Nienawidzę muzyki lat 80. – żywiołowo, bezwarunkowo i instynktownie. Tym bardziej doceniam więc fakt, że tak pozytywnie oceniam płytę osadzoną w klimacie a la Kombi rocznik 1986, w której występują przejęcia syntetycznej perkusji typu „ciup-ciu-ciu-tsss”. To ewenement porównywalny chyba tylko z opublikowaniem entuzjastycznej recenzji musicalu „Skrzypek na dachu” na stronie Obozu Narodowo-Radykalnego. Posłuchajcie tej płyty.

Posłuchaj, jeśli lubisz: Daft Punk, Kraftwerk i zegarki z kalkulatorem. Warto spróbować: Cairo, Lux Lisbon, Can't You Wait

CO SZEPTANE

* Nowe płyty nagrywają **New Kids On The Block** i lider zespołu **Mr. President** (klasyczna już kompozycja pt. „Coco Jumbo”). Ludzie! Do schronów! Wraca pop lat 90.



* W ramach zachowania równowagi w Kosmosie oto garść dobrych wieści z elektronicznej strony Księżyca – nowa płyta **Daft Punk** już na wiosnę, 1 kwietnia na półki sklepowe trafi krążek „The North Borders” **Bonobo**, 4 kwietnia ukaże się także album „Shaking The Habitual” szwedzkiego duetu **The Knife**.

* Matka **Justina Biebera** zamierza zrealizować film antyaborcyjny. Aż mnie korci, aby napisać coś bardzo sarkastycznego i niesmacznego, ale opanuję się – powiem tylko, że kto jak kto, ale akurat ona świetnie by się sprawdziła w kampanii promującej antykoncepcję.

* Uwaga! Na Śląsku powstaje nowy festiwal, który nie bawi się w półśrodk. W tegorocznym Life Festival Oświęcim 2013 oprócz **Brodki** i **Perfectu** wystąpią – usiądźcie wygodnie, głęboki oddech – **Sting** oraz szkocki zespół **Red Hot Chili Pipers** (łączy tradycję brzmienia szkockich dud ze współczesnym rockiem). Impreza odbędzie się pod koniec czerwca.

* Coraz lepiej zapowiada się także



Zdjęcia: ARC

tegoroczna edycja festiwalu Bażant Pohoda w słowackim Trenczynie. Na pęczniejszej liście wykonawców pojawili się dotychczas **The Smashing Pumpkins, Nick Cave, Amon Tobin, Kaiser Chiefs, Bloc Party** oraz **Buena Vista Social Club**.

* Po tym, jak Polacy nie tyknęli informacji o tym, że iloraz inteligencji **Dody** sięga pułapu geniusza, wokalistka postanowiła zaniżyć loty i do-

wieć mniej ambitnego twierdzenia. Aktualnie pracuje nad autobiografią, a więc nie będzie już wątpliwości – „TO” potrafi pisać!

* 1 stycznia w wieku 85 lat zmarła amerykańska wokalistka **Patti Page**, pierwsza popowa artystka, która użyła w studiu pionierskiej techniki tzw. „overdubbingu”, czyli wielokrotnego nagrania jednego głosu lub instrumentu. Przyczyna była prozaiczna – producentowi zabrakło funduszy na zatrudnienie dodatkowej wokalistki, a więc Paige musiała sama zaśpiewać w utworze „Confess” oba głosy. Z biegiem lat overdubbing zdomował się w arsenale standardowych technik nagraniowych, wirtuozersko został zastosowany na przykład w utworze „Bohemian Rhapsody” grupy **Queen**. * Bono, wokalista zespołu **U2**, ma własnego pająka. A dokładniej – jego imieniem został nazwany nowo odkryty gatunek pajęczaka. Ciekawy pomysł godny naśladowania – skoro mówiliśmy o Dodzie, to na swoje nazwy z pewnością czeka wiele gatunków pasożytów jelitowych.

Koncert Kristíny

Popularna słowacka piosenkarka Kristína będzie śpiewała dla zakochanych. W czwartek 14 lutego, w dniu św. Walentego, wystąpi w Miejskim Domu Kultury w Karwinie. Koncert rozpocznie się o godz. 19.00.

stronie świata”. Jej najbardziej znany przebój to utwór z 2010 roku pt. „Horehronie”. Kristína jest słuchana nie tylko na Słowacji, ale też w Czechach, gdzie otrzymała tytuł „Piosenkarka Roku 2011” popularnej



Fot. Oficjalna strona piosenkarki

Kristína przyjedzie do Karwiny.

25-letnia piosenkarka pochodząca ze wschodniostłowackiego Svidnika wydała już trzy płyty, ostatnia z nich nosi tytuł „Na słonecznej

stacji muzycznej „Óčko”. Bilety na koncert można nabyć w kasie Miejskiego Domu Kultury.

(dc)

Pobiegną dla idei

Tu wszystko zależy od śniegu. Jeśli warunki dopiszą, w centrum Wisły spotkają się gwiazdy pod przewodnictwem Przemysława Salety, które pobiegną po nowe życie. Jeśli białego puchu zabraknie w centrum Wisły, bieg odbędzie się na trasach do narciarstwa biegowego na Kubalonce. To wszystko już 9 lutego.

– Patrzymy w niebo i prosimy o dużo, dużo białego puchu i lekki mróz – mówią organizatorzy tradycyjnego już biegu po nowe życie. To dwa lata temu pięściarz postanowił zorganizować po raz pierwszy w Wiśle projekt sportowo-edukacyjny na rzecz wsparcia rozwoju transplantacji narządów.

„Snow Sport Show – Bieg po Nowe Życie” to projekt społeczny na rzecz promocji działań prozdrowotnych, edukacji w zakresie transplantacji narządów oraz aktywizacji społeczeństwa kraju do świadomego oddawania narządów do przeszczepu i przeszczepu rodzinnego. Inicjatywa wspiera działania ukierunkowane na promocję i propagowanie idei rozwoju transplantacji narządów w naszym kraju. Jest połączeniem amatorskiej, sportowej rywalizacji i promocji działań prozdrowotnych, propagujących ideę przeszczepów jako daru życia.

(r)

»Jedynkowi« wejdą za darmo

Jeszcze dziś i jutro można będzie zwiedzić za darmo Muzeum Strazackie Miasta Ostrawy w Ostrawie-Porębie. Ale uwaga! To oferta nie dla wszystkich. Przy wejściu należy wylegitymować się... świadectwem szkolnym z samymi jedynkami. Podobnie jak w poprzednich latach, muzeum w ten sposób nagradza uczniów, którzy mają dobre oceny na świadectwach półrocznych.

Rodzice czy osoby towarzyszące dzieciom w zwiedzaniu muzeum za wstęp zapłacą wtedy tylko połowę

ceny. „Jedynkowi” uczniowie z całego kraju mogą dziś i jutro zwiedzać muzeum w godzinach 9.00-13.00. Kto nie zdąży, może wybrać się tam kiedy indziej, tyle tylko, że z biletem wstępu.

Tradycję nagradzania uczniów za dobre świadectwa wprowadzono tu już siedem lat temu. Po pierwszym półroczu nauki szkolnej darmowy wstęp jest zwykle przez kilka dni, natomiast po czwarcym rozdaniu świadectw jest to cały lipiec.

(ep)

Spotkania z muzealnikami

Nowy cykl wykładów o tematyce muzealnej rozpoczęło właśnie Muzeum Śląska Cieszyńskiego. „Spotkania szersznikowskie” prowadzą pracownicy Muzeum, a ich tematyka jest dosyć różnorodna. Pierwszy z wykładów odbył się 30 stycznia. Na temat Hermanna Hinterstoissera, pierwszego dyrektora cieszyńskiego Szpitala Śląskiego, mówiła Irena French.

Kolejny z zaplanowanych wykładów odbędzie się 27 lutego i dotyczyć będzie malowanych kalendarzy

prawosławnych. O ikonach ze zbiorów Muzeum Śląska Cieszyńskiego opowie Maksymilian Kapalski. Tematami następnych spotkań cyklu będą na przykład badania archeologiczne Góry Zamkowej, cieszyńska biżuteria ludowa czy postaci cieszyńskiego fotografa Henryka Jandaurka i Alfonsa Mattera, twórcy cieszyńskiej dzielnicy. Prelekcje odbywać się będą w Muzeum Śląska Cieszyńskiego, w ostatnią środę każdego miesiąca o godzinie 17.00.

(ep)

blog.jedzok.com

Rubrykę przygotował:

DAREK JEDZOK

Zawieźli radość na Zakarpacie

Prezenty, które mieszkańcy naszego regionu przyniosli przed świętami Bożego Narodzenia do zborów ewangelickich, Diakonii Śląskiej i trzynieckiego Caritasu, są już na Ukrainie. Trafiły do sierot, dzieci z biednych rodzin, seniorów i niepełnosprawnych z domów opieki.

Stowarzyszenie Pomoc Śląska Cieszyńskiego co roku zbiera prezenty dla potrzebujących na Zakarpaciu. W pierwszych latach skupiła się na dzieciach, później postanowiła obdarowywać również seniorów. To dlatego, że w domach opieki żyją często w nędznych warunkach.

– W tym roku zawieźliśmy na Zakarpacie 1 552 prezenty, dwie trzecie z nich przeznaczonych było dla dzieci, jedna trzecia dla seniorów – powiedział wiceprezes stowarzyszenia, Lumír Svoboda. Trafiły, jak

w poprzednim roku, do Mukaczewa, Rodnikowej Huty i Rachowa. – Prócz tego zaczęliśmy pomagać również rodzinom zastępczym, wychowującym sieroty, oraz rodzinom wielodzietnym. Jednej z nich stowarzyszenie przywiozło elektroniczne klawisze. Bo dzieci chciały grać, lecz rodziców nie stać było na zakup instrumentu. W tym rejonie jest duże bezrobocie, ojciec, by utrzymać liczną rodzinę, jeździ na prace sezonowe za granicę.

Pomoc Śląska Cieszyńskiego nie tylko od święta, lecz przez cały rok pomaga na Zakarpaciu. Efektem pomocy jest na przykład wyremontowany budynek dawnej czeskiej szkoły, który od lata ub. roku służy do wypoczynku dzieciom z rejonu Czarnobyli.

(dc)



Dzieci na Zakarpaciu cieszyły się z подарunków przywiezionych ze Śląska.

- ♦ **Wycieczki samolotem z Ostrawy:** Turcja, Bułgaria
- ♦ **Wycieczki autokarowe:** Chorwacja, (Riwiera Makarska), Polska (Bałtyk, Mazury, Tatry), Włochy (Dolomity), Słowenia (Bled), austriackie i niemieckie Alpy, Węgry – kąpiele termalne (Bükfürdő), łaźnie Luhaczowice, Teplice nad Beczwą, Trenczińskie Teplice, Dudince, kąpiele termalne – Beszeniuowa, Podhajska i Wielki Meder.
- ♦ **Wycieczki krajoznawcze:** Czechy, Słowacja, Europa.
- ♦ **Promocja emeryci +55:** Hiszpania, Sycylia. Rejs statkiem, sprzedaż w toku, katalogi przesyłamy darmowo.

CK A-Z Tour Bystrzyca, bezpłatny tel. 800 944 933, www.ckztour.cz

Willa Emaus dla rodzin i przyjaciół

W Ligotce Kameralnej, nieco wyżej nad rynkiem i kościołem katolickim stoi blisko stuletnia Willa Emaus. Obecnie, po gruntownym remoncie, służy jako nowoczesny pensjonat oraz studio wellness, oferując gościom spokój, relaks oraz niezapomniane chwile w uroczym zakątku przyrody Beskidu Śląskiego.

Willa Emaus nie jest anonimowym pensjonatem, jakich wiele. Willa Emaus jest miejscem z niezwykłą historią, związaną z niezwykłym człowiekiem, znanym działaczem na Śląsku Cieszyńskim, ks. ewangelickim, pastorem w Ligotce Kameralnej, a później seniorem na Wyższej Bramie w Cieszynie, Karolem Kuliszem. Willę Emaus wybudował w 1914 roku jako swój dom rodzinny z pokojem dla gości na pięterku, zapleczem gospodarczym i ogrodem. – Karol Kulisz był postacią nietuzinkową, wybitnym działaczem społecznym i narodowym. Właśnie tutaj, pod Godulą, w 1909 roku założył pierwszy w regionie dom pomocy społecznej. Jego „Betezda”, a także późniejsze „Betania” i „Eben Ezer” w Dziegiełowie działają do dnia dzisiejszego – opowiada właściciel pensjonatu Willa Emaus, Zygmunt Rakowski. Dodaje, że jako wielki patriota polski ks. Kulisz nie umknął uwadze hitlerowców. Zaraz w 1939 roku został aresztowany, 8 maja 1940 roku zginął w Buchenwaldzie. Dom został w posiadaniu rodziny pastora aż do 1979 roku. W czasie wojny zajmowali go oficerowie niemieccy, później służył różnym najemnikom, mieszkano tu nawet po kilka rodzin. Ostatnią właścicielką była dr Wanda Mrózek, która – jak zauważa Z. Rakowski – dobrze wyczuła genius loci tego miejsca. – Nazwa Emaus nigdy nie została zamazana, zawsze świeciła na tym domu – podkreśla.

Obecnie napis Willa Emaus przyciąga turystów, miłośników gór oraz wypoczynku w gronie rodziny i przyjaciół. Na parterze mieszczą się dwa przestron-



ne apartamenty dla 2-5 osób, każdy z dużym pokojem, sypialnią, łazienką, WC, wifii i telewizorem. Do dyspozycji gości jest kuchnia z jadalnią. Na piętrze znajduje się apartament dla 7 osób, z dwoma sypialniami, pokojem, własną nowoczesnie urządzonej i dobrze wyposażoną kuchnią, łazienką, WC, wifii i telewizorem. Każdy apartament jest na swój sposób oryginalny – każdy utrzymany w innej kolorystyce, każdy z innym umeblowaniem. Wszystkie natomiast wygodne i komfortowe.

Do dyspozycji gości jest wspólne pomieszczenie z dużym stołem, gdzie można zorganizować impre-

zę nawet dla 25 osób. W ciepłe dni można usiąść na tarasie. Kto nie chce się kłopotić z własnoręcznym przygotowaniem posiłków, może skorzystać z cateringu, który załatwia właściciel na życzenie gości. – Willa Emaus jest odpowiednim miejscem do urządzania imprez rodzinnych, firmowych, spotkań przyjaciół i absolwentów – przekonuje Z. Rakowski.

Kolejną atrakcją jest Studio Relax, również dostępne zarówno dla gości pensjonatu, jak i osób z zewnątrz. Skorzystać można z jakuzzi i przekonać się, jaką kojącą moc ma na ciało energia tryskającej wody. Z kolei regenerację całego ciała, poprawę obiegu krwi oraz obniżenie napięcia w mięśniach zapewni infrakabina. Promieniowanie podczerwone w temperaturze 55 st. C wyjdzie na zdrowie nawet tym osobom, które nie mogą korzystać z klasycznej sauny. Zupełną rewelacją dla zmęczonego ciała jest natomiast jadeitowa automatyczna leżanka do termomasażu, która w jednym procesie łączy znane techniki, jak akupresura, moxing, chiropraktyka i infraciepło przy równoczesnym działaniu półszlachetnego kamienia jadeitu.

Willa Emaus wszystkich serdecznie zaprasza!

(Artykuł sponsorowany, GL-078)



Firmy budowlane
SWABUD (cz) i SWAKOŃ (pl)
 Docieplanie elewacji, remont fasad zabytkowych, podbitki (palubki), wymiana okien PCV, remonty mieszkań i domów.
 Przyjmujemy zlecenia na 2013 r. także w systemie dotacji zacieplenie ścian i wymiana okien w ramach nowego programu „Zelená úsporám”
 kontakt:
 kom. cz. 776 218 494, cz. 608 556 915, cz. 774 085 874,
 e-mail: jozefswakon@onet.pl
 Szybka i fachowa realizacja zleceń.
 Cieszyn, Puńcowska 93
www.swabud.cz

OX.PL
 portal śląska cieszyńskiego

www.glosludu.cz

www.Picea.cz

Elmax®

• HAWIERZÓW DT ELAN • CZESKI CIESZYN Rynek CSA

• TRZYNEC ul. Jabłonkowska 410 (Słowak)

Blomberg®

ZESTAW PRALKA + SUSZARKA WNF8447AE40 + TKF8451AG30
 Pralka z cichym energooszczędnym bezszczotkowym silnikiem. Suszarka z pompą ciepłą. EKSTRA OSZCZĘDNY ZESTAW!

Greenplus A+++ -10% AB

ESOX
 Peníze jsou naše starost

4 ROKY ZARUKA

CENA ZESTAWU 29 990,-
 +PHE 132,-
 Razem 30 122,-
 Cena sugerowana 37 980,-

Więcej informacji w naszych sklepach oraz na www.blomberg.cz

OGRODZENIA ZS SIKORA
PRODUCENT OGRODZEŃ
 Bądź bezpieczny i ogródź swój Dom!

- Ogrodzenia siatkowe
- Ogrodzenia panelowe
- Ogrodzenia klinkierowe
- Automatyka
- Bramy garażowe

Nowo otwarty oddział w Trzyniecu www.ogrodzeniazs.pl
 obok przystanku "Obecni domy" email: plotyzs@seznam.cz mob. 732 683 665
TRZYNEC, ul. Frýdecká 572 tel/fax: 558 320 353

DRZWI I FUTRYNY
APELI

PROMOCJA - ZNIŻKA
 STYCZEŃ - 30%!
 LUTY - 25%, MARZEC - 20%!
 ♦ drzwi + futryna + kłamka ♦
MONTAŻ

Sklep: Trinec, Frýdecká 12,
 Tel. 558 325 172, 608 757 442

Nowy pensjonat w Łomnej Dolnej z 6 apartamentami z aneksem kuchennym, restauracją, jacuzzi, sauną, kąpieliskiem zabaw dla dzieci, tuż pod ośrodkiem narciarskim „Armada” zaprasza na tradycyjną kuchnię beskidzką oraz do spędzenia wakacji w Łomnej.

Tel.: +420 608 81 44 31
E-mail: valeria.pytlikova@gmail.com, www.rzhaczek.cz

Ekstremalna porcja wrażeń

Klub sportów ekstremalnych X-Trail Orłowa skupia miłośników niecodziennych wrażeń. Należy do nich także Adam Ondruch, który w domu spędza niewiele czasu. – Jak tylko to możliwe, staram się być w terenie, w górach. Kocham przyrodę i na łonie natury czuję się wysmienicie – powiedział „Głowski Ludu” Ondruch, jeden z założycieli orłowskiego klubu.

Pasja stała się też jego zawodem. Ondruch pracuje w jednym z brneńskich biur podróży nastawionym na wycieczki ekstremalne, ekspedycje na rowerach górskich itp. Przede wszystkim jednak spotkać go można w różnego rodzaju maratonach górskich. W ubiegłym roku wrócił ze złotym medalem w kategorii do lat 25 z prestiżowego Swissalpine Maratonu w Szwajcarii, zaś tydzień temu zajął trzecie miejsce w mistrzostwach RC w zimowym maratonie górskim w Ostrawicy.

Pod Łysą Górą w Ostrawicy byłem trzeci w swojej kategorii wiekowej, w klasyfikacji generalnej pobiegłem z szóstym najlepszym czasem. To tak dla ścisłości, żeby ktoś nie pomyślał, że jestem supermanem – stwierdził Ondruch, który królową Beskidów poznał na wylot. – Łysa Góra należy do najpiękniejszych szczytów Beskidów. Tak się też złożyło, że jest najwyższą i jedną z najtrudniejszych do poskromienia właśnie w zimowym okresie – ocenił 22-letni orłowianin. Najtrudniejszy szlak prowadzi z Ostrawicy, tam też usytuowana została baza i zaplecze logistyczne całego wyścigu. Zawody pod nazwą LH 24 zwały się w Beskidach tłumy miłośników ekstremalnych wrażeń. – To nie był typowy wyścig ze startem i metą. Rywalizacja polegała na tym, by w ciągu 24 godzin zaliczyć jak najwięcej pętli wokół Łysej Góry. Oczywiście z wydrapaniem się na sam szczyt góry – podkreślił.

Jak w każdym wyścigu ekstremalnym kryzys dał się we znaki nawet najlepiej przygotowanym kondycyjnie zawodnikom. – Nocą było najgorzej. Przeszkadzał mocny wiatr,



Adam Ondruch i porcja wrażeń z nieco innej półki.

w dodatku temperatura spadła poniżej 20 stopni Celsjusza. Miałem trudności z oddychaniem, zresztą jak wszyscy na trasie – zdradził nam Ondruch. – Największy kryzys pojawił się po ósmym okrążeniu, ale na całe szczęście wylizałem się z tego i wytrzymałem do końca. Każdy posiada ukryte pokłady energii, możliwości ludzkiego organizmu są wręcz niewiarygodne – dodał. Organizatorzy przyszykowali dla startujących zawodników ciepłe posiłki, zupę, napoje energetyczne. Z tego wszystkiego można było skorzystać

w trakcie całych zawodów. – Regularnie zatrzymywałem się w bazie w Ostrawicy. Na nogach utrzymywała mnie głównie ciepła zupa. To lekarstwo na wszelkie problemy.

Do najtrudniejszych wyścigów w karierze młodego orłowianina należał ubiegłoroczny maraton górski na 78 km rozgrywany w Szwajcarii. – „Swissalpine Marathon” jest jednym z najtrudniejszych maratonów na Starym Kontynencie. Były to w zasadzie takie małe mistrzostwa świata, bo na liście startowej pojawiło ponad 60 różnych narodowości. Przyjechali

nawet Kenijczycy – stwierdził Ondruch, który wrócił ze szwajcarskiego Davosu ze złotym medalem w kategorii do lat 25. – Nawet nie liczyłem na tak dobry wynik, tym bardziej cieszę się z tego sukcesu – przyznał.

W sporcie każdy poważny sukces uskrzydla do takiego stopnia, że z groźnego maratonu robi się spacer po plaży, a poprzeczka idzie w górę. Czy tak jest także w przypadku Adama Ondrucha? – Marzę o starcie w legendarnym wyścigu Dolomitenmann. Podobno są to najtrudniejsze zawody drużynowe na świecie

– stwierdził Ondruch. – To wiąże się jednak ze sporymi środkami finansowymi. Z tego, co wiem, opłata startowa wynosi ponad 8 tysięcy koron i trzeba też koniecznie wybrać odpowiednią drużynę do wyścigu. Do tego dochodzi zakwaterowanie, wyżywienie, dojazd na miejsce. Bardzo chciałbym spróbować sił w tym legendarnym wyścigu, zobaczymy, co z tego wyniknie – dodał. – W tym roku celuję w inną prestiżową imprezę, mistrzostwa świata w maratonie górskim w Szklarskiej Porębie. Termin 3 sierpnia bardzo mi odpowiada, podobnie jak malownicze zakątki po polskiej stronie Karkonoszy. Muszę tylko dokładnie jeszcze zaznajomić się z mapą i wylapać wszystkie zawirowania na trasie. Na pewno nie będzie łatwo – stwierdził orłowianin. Trasa maratonu wynosi 42 km, przewyższenie ponad 2000 metrów. To robi wrażenie, nie tylko na amatorach pieszych wędrówek z Gródka na Filipkę. Paradoksalnie Adam Ondruch obawia się nie morderczego przewyższenia, a... zbyt krótkiej trasy liczącej „zaledwie” 42 km. – Jestem przyzwyczajony do dłuższych odcinków. Moje nogi łapią odpowiedni rytm dopiero za 40. kilometrem, a wtedy w Karkonoszach będą zbliżał się już do mety. Czyli muszę się przestawić na trochę inną strategię – przybliżył Ondruch, który pod koniec marca przesiądzie się na rowery górskie, a w kwietniu zaliczy wyścig ekstremalny na Wisalajach w Beskidach. – Jak już mówiłem wcześniej, nie potrafię bezczynnie siedzieć w domu i gapić się w ekran telewizora. **JANUSZ BITTMAR**

Plany sekcji sportowej »Beskidu Śląskiego«

W siedzibie Kongresu Polaków w RC odbyło się w środę walne zebranie PTTŚ „Beskid Śląski”, konkretnie sekcji sportowej. Członkowie towarzystwa przedyskutowali plan pracy na 2013 rok. Do konstruktywnej dyskusji włączyła się pokaźna grupa osób biorących udział w środowym spotkaniu. W charakterze gościa na zebraniu pojawiła się prezes „Beskidu Śląskiego”, Halina Twardzik. Dyskusję prowadził wiceprezes tej organizacji, szef sekcji sportowej Henryk Cieślak.

– Cieszę się z tego, że zjawilo się bardzo wiele osób, bo tematy omawiane w dyskusji dotyczą w zasadzie wszystkich członków naszej organizacji – powiedział „Głowski Ludu” Henryk Cieślak. – Poruszone zostały m.in. tematy związane z imprezami sportowymi zaplanowanymi na bieżący rok. Dyskusję zdominowały w finale Letnie Światowe Igrzyska Polonijne, które od 3 do 10 sierpnia odbędą się w Kielcach. Chcemy wystawić tam jak najsilniejszą reprezentację, ale na razie jeszcze nie otrzymaliśmy z centrali Wspólnoty Polskiej żadnych konkretnych informacji, ani też kart zgłoszeniowych. Musimy uzbroić się w cierpliwość – stwierdził Cieślak. – Marzymy też o jednolitych strojach sportowych na igrzyska, żeby godnie reprezentować barwy Beskidu Śląskiego i Republiki Czeskiej. Polonusi z USA czy Kanady zawsze przyjeżdżają w eleganckich strojach, trochę im tego zazdrościmy. Zależy to oczywiście od kwestii finansowych – zaznaczył szef sekcji sportowej. Wszelkie pytania, związane nie tylko z igrzyskami, można wysłać na adres: henryk.c@seznam.cz.

Już teraz można się zgłaszać do tegorocznego

Biegu Piastów, który w dniach 1-3 marca rozegrany zostanie na trasach w Szklarskiej Porębie-Jakuszykach. Organizacją i wyjazdem zaolziańskiej części ekipy zajmuje się ponownie Władysław Czudek. – Z tego, co wiem, zainteresowanie Biegiem Piastów ze strony naszych narciarzy jest bardzo duże, warto więc wysłać zgłoszenie jak najszybciej – podkreślił Cieślak. Zgłoszenia przyjmuje Władysław Czudek pod adresem elektronicznym: vladislav.czudek@seznam.cz. „Beskid Śląski” chciałby też aktywniej włączyć się w organizację własnych biegów narciarskich. – Jest wizja, żeby

przygotować nasz zaolziański bieg, coś w rodzaju „Biegu Beskidu Śląskiego” – zdradził wiceprezes organizacji. Sekcją biegów (nie tylko narciarskich) zajmuje się od stycznia Władysław Martynek.

Uczestnicy środowego zebrania jednogłośnie stwierdzili, że warto promować wszystkie sporty, nie tylko te masowe. Pozytywnie oceniono m.in. zorganizowane w ubiegłym roku imprezy siatkarskie, tenisa stołowego, tenisa ziemnego czy futbolu. Piknik siatkarski na Pasieczkach w Koszarzyskach był jedną z tych imprez, które warto kontynuować i udoskonalać. **(jb)**



Środowe spotkanie sekcji sportowej „Beskidu Śląskiego”.

W SKRÓCIE

FK FOTBAL TRZYNIEC: PRZEGRANY SPARING I KOLEJNE ZMIANY. Piłkarze Trzyńca z podniesionym czołem przegrali towarzyskie spotkanie z Banikiem Ostrawa. Wynik 0:1 sugeruje, że różnica dwóch klas w zasadzie nie była widoczna. – I tak rzeczywiście było. Nawiązaliśmy z pierwszoligowym klubem wyrównaną walkę. Zdecydował gol z 90. minuty – powiedział nam Karel Kula, dyrektor sportowy podbeskidzkiego trzecioligowca. Gola na wagę zwycięstwa zdobył dla Banika Dominik Kraut. W zespole lidera MŚLF szykują się kolejne rozszady kadrowe. W meczu z Banikiem w ataku zagrał Josef Čtvrtníček ze Słowacka, w dzisiejszym sparingu z Liptowskim Mikulaszem w kadrze pojawi się Václav Juřena z drugoligowej Karwiny. Napastnik nie wziął już udziału w karwińskim zgrupowaniu na Słowacji. **(jb)**

OFERTA

HOKEJ NA LODZIE - II LIGA: Hawierzów – Prościejów i Przerów – Karwina (dziś, 17.00).

PIŁKA NOŻNA - SPARINGI: FK Fotbal Trzyńiec – Liptowski Mikulasz (dziś, 13.00).

SIATKÓWKA - UNIQA EKSTRA-LIGA: Hawierzów – Liberec (dziś, 17.00). **(jb)**